

Nr 52 (614)
Cena 1 zł
24-XII-1959



*Wesołych
Świąt!*

Przyjaciółka
TYGODNIK



fot. Film
Polski



U góry: Ewa Krzyżewska pierwszą rolę otrzymała w filmie „Popiół i diament”.
Od prawej: Brigitte Bardot, płoża francuska aktorka



W atelier wytwórni filmów we Wrocławiu „kręci się” nowy film polski „Przepustka”. Na planie, w świetle reflektorów — scena zabawy

JAK się robi FILM



Tadeusz
Fijewski

W przedświątecznych dniach przypomnieliśmy sobie wiele przepisów: jak się robi makowiec, jak karpia w galarecie i jeszcze mnóstwo innych. Na szczęście mamy już za sobą świąteczną krzątaninę. Wszystko się świetnie udało i teraz, odpoczywając, może zajrzymy do „kuchni” reżysera i zobaczymy, jak się robi film.

Składniki: jeden scenarzysta, jeden reżyser, jeden operator, kilku aktorów, kilkunastu statystów, sekretarka planu, dekorator, charakteryzator, wreszcie kierownik produkcji i muzyk.

Przyprawy: dużo inteligencji, sporo dobrej woli, łez i śmiechu — do smaku.

Najpierw bierze się za warsztat scenariusza. Musi być jasny, przejrzysty i dokładny. Na przykład, oprócz rozmów, jakie będą prowadzili ze sobą nasi bohaterowie, musi być dokładnie napisane, czy będą wówczas stać, czy siedzieć, czy — może chodzić itd.

Musimy również ponumerować poszczególne sceny. A to dlatego, że nieraz zakończenie filmu nagrywamy na początku. Nad tym, aby się nam wszystko nie pokręciło, czuwa sekretarka planu.

(Dokończenie wewnątrz numeru)

Bywają i tacy aktorzy,
jak Francis — muł, który
mówi



Na tym zdjęciu, z nakręcania filmu niemieckiego pt. „Dopóki jesteś ze mną”, widać najlepiej jak się filmuje poszczególne sceny. Na pierwszym planie w eleganckiej stylowej sukni, Maria Schell. Pan, który siedzi na wysokim krzeselku — to reżyser, tuż za nim operator z kamerą. Na dole statyści, którzy „robią tłum” na balu. A reszta osób „w cywilu”, to pracownicy techniczni.

Wczoraj jeszcze był tylko plac. Przez jedną noc zmienił się w zielony, pachnący żywicą — las choinek. Tłoczą się teraz drzewka małe, większe i takie „pod sufit“.

— Którą paniusia uważa? Którą? — nawołuje niestrudzenie sprzedawca.

Tu i tam rozlegają się niecierpliwe dziecięce głosy:

— Tę, mammo, kup! Tę!

...Wraz ze świeżym, żywicznym zapachem — wracają własne, odległe święta. Dorosli przemierzają aleje tego „lasu“ nie tylko po drzewko dla krocącego obok dziecka. Idą jednocześnie i na spotkanie własnego dzieciństwa, własnej młodości, swych dawnych choinek.

Narieczona

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, bo i ciasto udało się nad podziw, i z zakupami zdążyła, a co najważniejsze — syn nie będzie miał tego dnia dyżuru na kolei. A przecież, nie mogła się Zofia cieszyć całym sercem świętami, jak za jego dzieciennych lat. Przeszkadzało jej coś, a raczej... ktoś: szczupła, jasnowłosa dziewczyna, którą przyprowadził:

— Mammo! To jest Janka, moja narieczona.

Andrzej powiedział to zwyczajnie, jakby chodziło o jakąś codzienną, najprostsza sprawę.

Charakter miał ten chłopak zawsze skryty — podobnie jak jego ojciec. To Zofia dobrze wiedziała. Dotychczas nie było jednak między nią a synem sekretów. Rozumiała się z nim dużo lepiej, niż ze starszą zamężną córką. A tu taka niespodzianka! Czuła o nią wielki żal. Ale — nie do syna, tylko do przyszłej synowej.

„Poznali się podobno niedawno, a tyle już mają sobie do powiedzenia“ — myślała zazdrośnie, krzątając się po pokoju, a jednocześnie ukradkiem śledząc za młodymi. Ona, która całe życie marzyła o tym, aby nie rozstawać się z synem, nagle poczuła ulgę w sercu, że Andrzej dostaje własne mieszkanie.

...Stały jej w pamięci dawne choinkę z synem. Teraz nigdy już nie zazna Zofia takiej radości! Kiedy Janka zaczęła więc na głos zachwycać się drzewkiem, powiedziała na przekór:

— A to już ostatnia choinka w moim domu! Więcej kupować nie będę! Po co? Dla kogo? Nie mam już przecież dzieci.

I wtedy właśnie z takim wyrzutem popatrzył na nią Andrzej.

— A my z Janką to nie dzieci, mammo?

Czwarty talerz

Małgosia nie może się napatrzeć na matkę. Ileż to lat się nie widziały! Małgosia wróciła do kraju zaraz po śmierci męża. Renè — to imię wciąż wywołuje u niej bolesny skurcz serca. Ale — precz smutki! Małgosia jest wśród swoich. Takie tu wszystko swojskie, bliskie, nie takie, jak w dalekiej Francji. Zapach świątecznego placaka z kruszonką, pierników na miodzie, choinki...

— Małgosia, już czas ubierać drzewko.

Głos matki, ten sam, serdeczny, kochany, budzi w niej wspomnienia dzieciństwa. Wydaje się, jakby to było wczoraj...

Małgosia jest małą dziewczynką. Za chwilę do niej i do młodszego brata, Józka, przyjdzie „prawdziwy“ Mikołaj. Dzieci powtarzają w kółko wyczony wierszyk. Trochę się boją co przyniesie: prezenty, czy... różgi? Mikołaj ma jednak dobre serce i dziwna

rzecz: oczy ma zupełnie podobne do oczu tatusia...

Małgosia nagle smutnieje. Z Józkiem nie widzieli się już wiele lat. Losy wojenne zagnały go na Bliski Wschód. Ale przecież niedawno pisał do matki, że tęskni, że chce wrócić. Że może nawet zdąży na święta...

Biel obrusa nastraja wszystkich uroczystość. Matka rozstawia talerze: dla męża, córki, siebie i... czwartego talerza dla syna.

Przy oplatku... w oczach rodziców łączy radość, że jest z nimi Małgosia. I łączy smutek, że... Józek nie zdążył na wilię.

...Następnego dnia rano ktoś puka energicznie do drzwi. Przyjechał! Znów jest z nimi ten sam jasnooki Józek. Tylko włosy przyprószyła mu siwizna...

Most

Przyjechał w wigilię, późnym wieczorem. Synek rzucił mu się na szyję, żona popłakała się z radości. Był głodny, zmęczony, zziębnięty.

— Całą drogę stałem — opowiadał — ale jestem.

— Nareszcie! Myślałam, że już nie przyjedziesz — odetchnęła żona.

— Nie wiele do tego brakowało — odpowiedział.

— Co znowu?

— Ano, jak to u nas, nigdy nie wiadomo co wyskoczy. Z drugim prześłem mieliśmy kłopoty.

Henryk Mazgaj, bo o nim tu mowa, jest majstrem na budowie mostów. Pracuje w „Mostostalu“ od kiedy tylko „Mostostal“ istnieje, od 14 lat. Zaczął jako robotnik. Kiedy budowali most w Tczewie, był już brygadzystą. Na ilu już był budowlach! Ho, ho! Elbląg, Nowa Huta, Terespol, Warka... Trasa W-Z w Warszawie. Każda budowa — to rozłaka z rodziną. Dlatego chyba Mazgajowa nie lubi mężowskiego zawodu.

— Za Cygana wysłałam — mówi.

Bywają takie chwile, kiedy i sam Mazgaj rzuciłby wszystko, przeniósł się na stałe do pracy w Warszawie, gdzie ma mieszkanie. Ale to są tylko chwile. Bo jak wilka do lasu, tak i jego ciągnie coś na te mosty.

— Tylko uważaj na siebie — prosi nieodmiennie żona.

— Nie bój się. Co mi tam może grozić. A w duchu myśli: gdybyś ty wiedziała... Owszem, dowiaduje się, ale kiedy już dawno jest po wszystkim. W Elblągu na przykład. Zerwały się liny u dźwigu, a zwisająca na nim kilkuset tonowa suwnica już, już miała rąbnąć na dół. Z ludzi, na dole nawet miazga by nie została. Szczęściem operator nie stracił przytomności, jednym ruchem skierował dźwig na ścianę i ta go zatrzymała.

W Tczewie znowu, w okresie, kiedy ruszyły lody, bractwo wypilo sobie trochę i zachciało im się chwycić zające, płynące na krach lodowych. Łódź wyrwała się, a oni w jednej chwili znaleźli się w lodowatej wodzie. Innych drobniejszych przygód i na wołowej skórze by nie spisał.

Dziś Mazgaj wrócił z Zatoru koło Peimia, gdzie kieruje budową mostu na rzece Skawie.

W domu radość.

— Zeby tylko nie spotkało cię to, co przed dwoma laty — mówi Mazgajowa.

A było to tak,

Wszyscy troje ułożyli wspólnie, jak spędzą święta.

W drugi dzień ubierali się do wyjścia, Mazgaj akurat zakładał palto, gdy w drzwiach stanął listonosz.

— Pilna depesza!

Drżącymi rękami otwierała Mazgajowa kopertę.

— „Skawa wylała — Most. Niebezpieczeństwo!“.

(Dokończenie na str. 6)

JULIAN EJSMOND CHOINKA

Chępiła się Chojnka, od cacek błyszcząca,
jaśniejąca świecami, pełna barw tysiąca:
„Czym nie jest w blaskach moich jaśniejsza od słońca?
Wiszą na mnie tęcze nici, srebrne kule...
kolorowe girlandy, anioły i króle...
Nie znam, co to mróz, śniegi, wichury i bóle...
Wiszą na mnie orzechy, cukry i lakocie...
Stoję — niechym królowa — we srebrze i złocie...
Stańcie przy mnie wy, które giniecie w tęsknocie...
Patrzcie i podziwajcie mój los uśmiechnięty...
Koło mnie jest raj szczęścia, kraj cudów zaklęty...
A pode mną prezenty, prezenty, prezenty...“.

Odrzekła jej Chojnka ośnieżona z boru:
„Nie zazdroścę ci złota twego ni splendoru...
Mróz ni zimno nie psują mi nigdy humoru!
Śnieg mój białym swym puchem otula mnie czule.
Śnieg mój ma barwniejsze tęcze niż twe kule...
Mój mróz iskrzy się w słońcu promienniejsz niż króle...
Niechaj leszczynę zdobi rój złotych orzechów!
Świece nie zaćmią nigdy słońca na błękieci!...
Jednego ci zazdroścę: dziecięcych uśmiechów,
mimo że te uśmiechy kosztują cię — żucie...“.



M. Konopnicka
Urbanowa



Kto by to pomyślał, że nazwisko, które tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy w kuchni z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak to było z okazji stłuczonego garnka.

W ogóle garnki tłukły się u nas jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej „czegoś się ręce trzęsły”, w południe „wszystko jej z rąk leciało”, wieczorem zaś „cała nie mogła”. Jeśli zaś przypadkiem „mogła”, to zwykle wtedy „musiała duchem skoczyć naprzeciwko”, po czym w kuchni bywało prawdziwe pobożowisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już od dawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nie odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek stłukł. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła cię co dzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się „oberznąć”, „okroić”, „pęknać”, „wyszczerbić”, „utrącić”, „wysliznąć” lub zgola „klapnąć”. Przy takim bogactwie wyrażen, malujących każdy pojedynczy przypadek, już nie wiem, co by za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tym, jako został „stłuczony”.

A ponieważ żaden stłuczony nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów, rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historię.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich wzdychając i kiwając głową.

— Jeszcze byś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha.

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garnkowy garnek... żeby tak zdrowa była! Jaka to polewał! On jeszcze dziś więcej wart niż drugi cały...

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, po czym sięgała po trzeci.

— Na kanonicznym rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, łzę... Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żeby tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był stracił, to by do roku wytrzymał... Garnek jak szkło...

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którądy on ciecie?... A ciecie, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawić miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz, babo, redutę! — wołała Urbanowa uderzając w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś załśnił!... Nienastarczone rzeczy z tymi skorupami... No, i rób, co chcesz! Taki nowy garnek... A bodajżeś zmarniał!... Półsiódma czeskiego dałam... Tygodnia jeszcze nie ma... A żeby to choroba, z takim gospodarstwem!... Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu nie ma, tylko same skorupy... Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi jak wybrane... Żeby tak jutra doczekała, jak nie łzę... Same żelazne!... Żeby tak mego Jaska szczęśliwie wychował!...

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk tak było, a tak, u państwa Asnyk robi się to a to, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nie nawykła... słowem, gotowy

prejudyk na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy dla świętego spokoju robiło się u nas tak, jak „u państwa Asnyk”.

Jedne żelazniki szły jakoś oporem gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą, i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiec, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierociego domu, pomiędzy odrabianiem lekcji, do księdza Kubusiewicza a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że skutkiem zupełnego na owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko „państwa Asnyk”, rodziców poety, obrzydło mi tak, że go po prostu znieść nie mogłam i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją odyseję o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem co dzień, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyny wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły, i nie tak jej wszystko z nich leciało, i takiego trajkotania o „państwu Asnyk” nie było.

Od południa za to grzała Urbanowa wodę, czasem ług, nawet, dobywała resztki z całonocnych obiadów, szykowała nici i łatki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to poplaskując i wycierając nos w grubą kuchenny fartuch, a wyglądając coraz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może że szesnaście. Przychodził zwykle brudny, obdarty, z miną dziwnie wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchającami w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kufierku i patrzył oświadczenia to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra...

Lubiłam bardzo Jaska. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o „państwu Asnyk”, a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapomniałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale wlaższy na wysoki kuchenny stół kłękając na nim i zapatrzona w Jaska wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytył wsakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

(Dokończenie na str. 6)



zien Wigilii i Bożego Narodzenia był kiedyś ostatnim dniem starego roku i zwał się Godami.

Lud polski obchodził Gody jeszcze za pogańskich, lechicko — słowiańskich czasów. W dni poprzedzające Gody — młodzi mężczyźni urządzali zasadzki na wilki, jelenie, losie, tury. Gdy tylko nastał pierwszy wieczór Godów — co zręczniejsi i sil-

niejsi młodzieńcy oprowadzali żywe zwierzęta po wszystkich domostwach. Śpiewali przy tym wesołe pieśni i życzyli mieszkańcom szczęśliwego doczekania nowych Godów. Stąd wywodzi się późniejsze, a i dzisiaj jeszcze spotykane, chodzenie z turoniem.

Gody — święto Lechitów, tradycja starosłowiańska — przeszły bowiem do następnych pokoleń. Związały się z nowymi wierzeniami, z chrześcijańskimi obchodami świąt. Chodzenie po domach z szopką — z Jasełkami, wzięło swój początek z przedstawień kościelnych, wyobrażających narodziny Chrystusa. Podobno pierwsze takie przedstawienie urządził Franciszek z Asyżu we Włoszech. Potem organizowano Jasełka w wielu kościołach. Z nich, wywędrowały z kołędnikami do domów.

Kolędy i pastorałki są stosunkowo późno znane, bo dopiero w XVI i XVII wieku.

Jeszcze nasi dziadkowie wieczór wigilijny, zaczynając się z pierwszym blaskiem gwiazd na niebie — nazywali Godami.

W staropolskim zwyczaju nazwa ta miała także inny sens: trzeciego dnia świąt Bożego Narodzenia (dawniej: tyle dni je obchodzono) — ludzie skłóceni — godzili się. Przyjemny zwyczaj, prawda? Nie jeden zresztą. Zwyczajów świątecznych dawniej było znacznie więcej niż dziś,

My — kupujemy choinki, obwieszamy je zabawkami, kolorowymi łańcuchami. A jak było u naszych przodków? Zajrzyjmy do izby.

Nigdzie nie zobaczymy choinki. Za to w rogu izby — sноп dorodnego zboża. W niektórych domach — sноп nawet w każdym rogu. To po to, aby izba przypominała wnętrze szopki betleemskiej. I po to — aby sprowokować los. Aby wywróżyć sobie pożądaną obfitość przyszłorocznych plonów.

Choinkę — poznaliśmy w Polsce dopiero w XIX wieku; zwyczaj strojenia drzewka przywędrował do nas z Niemiec.



Staropolski — jest sноп zboża. Staropolskim też zwyczajem jest zaścielanie wigilijnego stołu drobnym sianem (również nawiązanie do szopki betleemskiej).

A w czasie wieczery wigilijnej — doskonała zabawa!

Patrzcie! Dziewczyna z długimi, jasnymi warkoczami sięga pod obrus i... wyciąga barwnie malowaną, uwitą z gałąnek, laleczkę. Wszyscy śmieją się, a najbardziej cieszy się dziewczyna — bo laleczka, to niezawodny znak zamażpójścia w najbliższym roku. (Młode dziewczyny popełniały i popeł-

niają do dziś ten sam błąd, uważając swe wesele za największe szczęście).

Ale to nie koniec. Teraz sięga pod obrus młodzian. Wyciąga słomkę. Podnosi ją do góry — wszyscy wstają, oglądają. Jeśli słomka jest połamana, to też wróżba weselna. Jeśli do tego jest prosta — oblubienica będzie piękna i zdrowa.

Tak bawiono się dawniej przy wieczery wigilijnej. Wróżono sobie ze słomek, traw, kwiatów. Pod obrus podkładano kartki z dowcipnymi wierszykami dla panien i młodzianów, oraz podarki dla dzieci. Bo przecież choinek nie było.

A co jedli nasi prapradziadkowie? Tradycja nakazywała przygotować na wilę nieparzystą liczbę potraw. Im więcej — tym lepiej. Bo z ilością potraw wiązała się wróżba obfitości na rok następny.

Nieodzowną na stole wigilijnym była dawniej „kucya”. Co to jest? Dziś większość ludzi tego nie wie, więc — jak przystoi na kobiece pismo — szybko podajemy przepis:

Bierze się pęczak, kaszę perlową lub ryż. Gotuje się na gęsto i sypko, tak, żeby ziarno od ziarnka odstawało. Potem dodaje się mak „wiercony w donicy”, osładza się miodem. Można to wszystko trochę polać mlekiem makowym, rozcieńczonym wodą, można dorzucić trochę rodzynek. Ale — żeby tradycyjnie stało się zadość — „kucyę” trzeba sporządzić z samego rana, jak tylko się rozjaśni, trzeba postawić ją w glinianym garnku w rogu izby za stołem, czyli na tzw. „pokąciu”. To jest miejsce najdosłojniejsze, od którego „kucya” wzięła swoją nazwę.

Poza „kucyą” na stole wigilijnym naszych praojców znajdował się barszcz z grzybami, bigos postny, kluski z trzema doprawami: z sokiem z kapusty kiszzonej, z makiem, z faryną (to jest cukrem makiem podlegszego gatunku) lub z miodem, Groch biały

Uwaga, świeżo malowane

ZADYMKA. Porywisty wiatr hula ze śniegiem, gna jak wściekły i przepada gdzieś w ciemnościach. W taki wieczór człowiek rad siedzi przy piecu, nikomu nie chce się za próg wytknąć nosa. Tymczasem w Szczekarkowie — kto żyw pędzi do szkoły. Drzwi nowego budynku bez przerwy otwierają się i zamykają. Wszędzie ruch, stukanie młotków.

Uwaga! Ściany, drzwi, okna — świeżo malowane! Można się łatwo gdzieś przykleić. Izby lekcyjne jasne, przestronne, czekają już tylko na ławki. Żeby je zdążyli na czas przywieźć! W taką zadymkę nie wiadomo, co się może przydarzyć. Przewodniczący komitetu budowy szkoły, **Wacław Kos**, i jego prawa ręka — **Piotr Sztorc**, czują się dobrze, jak dowódcy na pięć minut przed wygraną bitwą. Odbijają którąś tam z kolei „bojową” naradę z nauczycielką, **Sabiną Lućko**.

— Kobiety do mycia podłóg przyjdą?

— Na pewno, a mężczyźni pomogą przy wyładunku sprzętów. Nie ma strachu. Tylko czasu mało.

Ano, mało, bo już pojutrze — wyobraźcie sobie — oficjalne otwarcie szkoły tysiąclecia w Szczekarkowie, czwartej z rzędu na Lubelszczyźnie. Nie do wiary, że tu obok małej szkółki, jednej mizernej salki... wyrosła w niecałe cztery miesiące szkoła — jak się patrzy. Duma mieszkańców, nauczycielstwa i robotników Przedsiębiorstwa Budownictwa Terenowego w Lubartowie. Nie będą już dzieciśka tłoczyć się w starej szkole, albo w wynajętej u gospodarza Kobyłki izbie. Nie będą stać na dworze, skurczone z zimna, w oczekiwaniu na lekcje. Nie będą nosić map i wszelkich innych pomocy z jednego końca wsi na drugi.

Kiedy na pierwszym zebraniu padły słowa: — nowa szkoła, niejedni myślał: będzie albo i nie. Takie to było wszystko dalekie, nieprawdopodobne. Opatkowali się, owszem, po 100 złotych od hektara. Znaleźli się jednak tacy, jak **Gdula**, którzy od razu powiedzieli:

— Nie damy ani grosza, bo z tego nic nie będzie.

Komitet urządził potem kilka zabaw, aby mieć pieniądze na cegłę, ka-

mień, wapno. Nabrali jednak ducha dopiero wtedy, gdy na placu zaczęły wienić się pierwsze przyzmy cegły z Wicentowa. Wiza nowej szkoły zaczęła nabierać realnych kształtów. Teraz, przy wykopach, niwelacji terenu pomagał, kto mógł. Kobiety nie ustępowały mężczyznom: **Janina Szczęch**, **Aniela Dybalina**, **Wojciechowska**, **Czesia od Sidorów**, **Karola Kobyłkówna**... wszystkich nie wliczysz.

A tymczasem **Kos** i **Sztorc** wydeptali ścieżki do powiatu, aby przyspieszyć budowę. Dotarli aż do Lublina i tam kołatał o dalsze materiały budowlane. Zaniechali przez to nawet własną gospodarkę. **Piotr Sztorc**, wstyd się przyznać, siał ozime żyto już w czasie przymrozków. Gdy przyjeżdżali z miasta z niczym — ludziom opadały ręce. Kiedy mieli na piśmie upragniony przydział — nadzieje odżywały. Cegłę woził szczekarkowski chłop — nawet w święta. We Wszystkich Świętych wyładowali trzy wagony, aby nie płacić postojowego.

Budowa ruszyła na całego, gdy przejeżdżała ją Przedsiębiorstwo Budownictwa Terenowego w Lubartowie.

Siedzę w mieszkaniu kierownika szkoły **Feliksa Lućki**. Ładne, wygodne mieszkanie. Niestety, siedzę przy lampie naftowej. Szkoła nie została jeszcze podłączona do głównej sieci elektrycznej. Kiedy to nastąpi? Nie wiadomo. W każdym razie **Wacław Kos** i **Piotr Sztorc** nie dają za wygraną, tym bardziej, że mieszkańcy wsi chcą pokryć część kosztów elektryfikacji.

Najważniejsze jednak, że szkoła już gotowa!

*

KIEDY STANISŁAW SZCZĘCH ogląda plan szkoły w **Górze Lubartowskiej**, aż mu się oczy śmieją

Wierchem dłoni wygładza papier i jakby od niechcenia zaznacza, że szkoła będzie większa, piętrowa i ładniejsza od szczekarkowskiej.

— No i od razu zelektryfikowana — dodaje **Ignacy Ostasz**, drugi członek komitetu budowy szkoły.

W **Górze Lubartowskiej** szkoła jest rozparcelowana w ciasnych izbach, wynajętych u **Gduli** i **Malesza**. Jak idzie nauka w takich warunkach? Kierownik szkoły, **S. Wróbel**, macha z rezygnacją ręką. Toteż w **Górze Lubartowskiej** trochę się nawet boczyl, że to nie u nich najpierw stanie szkoła tysiąclecia, lecz w Szczekarkowie.

— Czy my gorsi? — mówili. Trzeba jednak przyznać, że w parze z ambicją szły tu czyny.

Trudności było jednak co niemiara. Dwa razy urządzano zbiórki na budowę szkoły, ale efekty były mizerne. To komitetowi brakowało pieniędzy, to materiałów budowlanych, to znów nie wszyscy zgadzali się na sprzedaż wspólnego, wiejskiego lasu. Gdy po raz trzeci z rzędu zawiązał się komitet, mało kto wierzył w powodzenie sprawy. Żeby wreszcie uzyskać plac pod budowę, właściciele działek dostali trzy razy więcej ziemi ze wspólnego pastwiska. A ileż było starań o kamień, wapno, cement.

W pierwszą niedzielę po Zielonych Świętach, 48 chłopów pojechało do Wicentowa. Sami zrobili prawie 4000 sztuk cegły, robotnicy cegielni wypalili ją darmo. Fundament też położyli własnymi siłami. Położyli dobrze, żaden majster nie powstydziliby się takiej roboty. Wioskowi murarze: **Charro**, ale przecież szkoła rosła. Na przełęcz, jeden i drugi **Topyla**, **Ostasz**, podciągali mury do parteru. Zarabiali niewiele, ale ludzie do pomocy przychodzili jak padało — raz wcześniej, raz później, robota szła niesko-

nor tym wszystkim, którzy na jej budowę nie dali ani grosza, jak **Bronisław Mazur**, który ma syna na wyższej uczelni, czy bogaty gospodarz, **Franciszek Koreć**.

Od trzech tygodni budową szkoły kieruje doświadczony majster, **Piotr Koziej** z Przedsiębiorstwa Budownictwa Terenowego. Z pomocą mieszkańców **Górki Lubartowskiej** pośpieszyło państwo. Zasłużyli sobie na nią.

*

STANISŁAW MITURA, chłopski syn, skończył cztery klasy w wiejskiej szkole w powiecie lukowskim. Maturę zdawał dwa razy jako eksternista: raz przed wojną i drugi raz po wojnie, bo mu zaginęły papiery i nie mógł przedstawić świadków. Skończył potem zaoczne studia rolnicze, pracując cały czas zawodowo. Ten człowiek wie co to są nie przespane noce nad książką po całym dniu pracy. Wie jak się zdobywa wiedzę, kradnąc każdą wolną chwilę. Może właśnie dlatego **Miturze** tak bliskie jest hasło budowy tysiąca szkół — jemu, samoukowi.

Na jednym tedy z zebranych partyjnych, **Stanisław Mitura**, dziś dyrektor Wytwórni Syropu Ziemniaczanego, rzucił myśl budowy szkoły tysiąclecia tu, w dzielnicy robotniczej Lublina. Długo to trwało, zanim ryś przybrał realne kształty. Zanim zawiązał się komitet budowy szkoły. Weszli don przedstawiciele kilkunastu zakładów przemysłowych, ze **Stanisławem Miturą** na czele. Każdy coś zadeklarował: pieniądze, pracę. Załoga Wytwórni Syropu Ziemniaczanego oddała z funduszu zakładowego 15 tysięcy złotych, dyrektor **Mitura** z funduszu dyspozycyjnego — 5 tysięcy. Spore sumy złożyli rodzice, nauczyciele.

Lucyna Werewska, kierowniczka starej szkoły, mówi o tych wszystkich sprawach z dużym przejęciem. Uczy już 44 lata, i nie może się doczekać dnia, kiedy „jej dzieci” wyprowadzą się z obok baraku do pięknego, nowoczesnego budynku. Widzi go już w wyobraźni: 17 dużych klas, gabinetu fizyczne, chemiczne, piękną salę gimnastyczną, świetlicę, kuchnię, natrysk, mieszkania dla nauczycieli. Och gdyby się tak jeszcze spełniło marzenie uczniów i zbudowano kryty basen! Ciepłą wodę można by tanio doprowadzić z Wytwórni Spirytusu, woda ta się marnuje. Odpywa do kanalizacji miejskiej, do ścieków.

Na placu budowy — ruch, ścisk. Nie łatwo budować na małej przestrzeni, tuż przy starej szkole, która zostanie rozebrana, gdy stanie już pierwsze skrzydło nowej. **Józef Dziedzic**, starszy technik z Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego, sądzi, że do lipca 1960 roku pierwszy etap budowy będzie zakończony, a do września 1961 roku — całość. Szkoda tylko, że pomoc, którą przyrzekły zakłady, okazała się niekiedy pustą deklaracją. Żeby tak wszyscy brali przykład z Wytwórni Syropu — wdycha. Niestety, mało jest takich zapalcieców, jak dyrektor **Mitura**.

To nie wszystkie jeszcze trudności. Dokumentacja, zrobiona w „wariackim tempie”, musi ulec pewnym zmianom. Była tylko została poprawiona w terminie, bo inaczej... Nie, to byłoby nie do pomyślenia, żeby pierwszą szkołę tysiąclecia w Lublinie oddano później, niż zamierzano. Trzeba, aby troska o dalsze losy budowy była udziałem wszystkich członków komitetu, nie tylko jednostek.

*

W CAŁEJ POLSCE buduje się szkoły tysiąclecia. Tworzą się coraz to nowe komitety budowy. Wartość czynu chłopskiego na terenie samej Lubelszczyzny oblicza się na 80 milionów złotych. Kilkaset milionów dał już Śląsk, załogi stoczni i portów...

Powstają szkoły — pomniki, trwalsze niż spłz i granit. Bo wiedza i kultura, której są przybytkiem, są największą siłą i wartością narodu.

Kiz

ogrodowy, grzyby suszone, smażone w oleju, kapusta, jagły, ryby, gruszek i kisiel. Do tego wszystkiego — gorzalka. (Tej tradycji, w związku z nową ustawą antyalkoholową — radzimy zbytnio nie naśladować).

Staropolskich zwyczajów wigilijnych i świątecznych jest dużo. Trudno o wszystkie napisać. Wspomnijmy więc króciutko tylko o kilku:

W czasie Wigilii — leci pod sufit groch „próżony”. Trz gospodarz i wszyscy domownicy rzucają go łżkami do góry. Aby dobytek się mnożył tak licznie, jak groch, żeby tak zdrowo „wybrykiwał”, jak ten groch podrzucany.

Po Wilii zebrane ze stołu siano — daje się „żywnie”. Trzeba uważać, żeby każde bydlatko w oborze dostało choć trochę, bo to wroży pomyślność. Ziarno wykruszone ze świątecznych snopów — daje się kurem, kaczkom, indykom. Słomę skręca się w powróśla i przepasuje nimi w sadach grusze, jabłonie, wiśnie, aby dawały obfity owoc.

Dziewczęta po Wilii wybierają z domu i wołają głośno po trzy razy: labuś, la, la, la... A potem — cisza! Trzeba dobrze słuchać, z której strony odezwie się pierwszy głos. Wszystko jedno jaki. Może to być szczekanie psa, może być inny hałas. Z tej strony, z której głos się odezwie, przyjdzie kawaler. Młodzieniec i dziewczyna rzucają stare trzewiki nogą w górę. Gdy rzewik upadnie, swoim noskiem też wskaże kierunek, skąd przyjdzie narzeczony, lub narzeczona.

Kto w dzień Wigilii wcześniej wstanie, ten cały rok nie będzie ośpały. Który myśliwy w tym dniu upoluje zwierzynek, będzie miał cały rok szczęśliwe polowanie. Kto ilu potraw wigilijnych jeść nie będzie, tyle go radości w następnym roku ominie.

H. P.



Hej koleda, koleda

Wisi kielbasa dwa rzęda.

Ciagnij bracie do siebie.

Będzie dla mnie, dla ciebie,

Urbanowa

(Dokończenie ze str. 4)

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaska spencerek i kamizelczyne, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stół, przy czym daje mu w kark raz albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego. Czy że koszula była tak czarna jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wylazły przez skórę...

Wymywszy Jaska dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki, już obleczony, czesała go

ręką i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś...

Tuż za nim wsunęła się nieładzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, spod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże zbrodniczym myśłem oddany Herod, a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym monologiem.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne kłanienie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiu! Mój Jasiu! Mój królu! Mój królewicz złoty!

I zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię i w uniesieniu najwyższej radości ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować dalej; nagle przecięł głos

ne, przedstawienie odbyło się szczęśliwie aż do tej stanowczej chwili, kiedy król, ścięty kosą śmierci opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a diabeł nadziewa go na widły mówiąc:

Królu Herodzie! Za twe zbytki
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprowadzie po dawnemu się tłukły, ale o „państwu Asnyk” nie było tak często mowy. Za to czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— Olaboga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiu był królem! A on już ciecie, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sażeń drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tym, nim Jasiu był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takim przekonaniem, jakby królestwo Jaska było spełnionym faktem politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazywać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaska od Pospieszynskiego odebrać, bo „co mu ta po siewstwie”.

Jeszcze i w tym zaszła zmiana, że Urbanowa nie myślała teraz króla Heroda sama, ale szturchawszy go na powitanie, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie kosierować — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę, tylko stojąc nad nim pilnowała, żeby to zrobił dokumentnie. Czesania przecież nie wyrzekała się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę po południu, uprzątnawszy kuchnię otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i wydobywszy z niego monarszą Jaska purpurę tudzież koronę z pozłotką, kładła je na swoim łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiedłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła: — Mój Jasiu! Mój złościu! Zawdziej no na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się na ciebie napię! Niech ja się nacieszę!

Jasiu się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tym, że zawdzywał, co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żeby tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się, moi ludzie! Istny król!

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam czarniawy, chudy, ospowaty dragal, tylko że purpura coraz krótsza na niego się stawiała.

Czasem też recytował swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden najgłówniejszy nawet tragik nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywała w bliskiej suterenie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Od dawna już wprowadzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błakały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszkę ziela. Pośrodku stała kupka kobiet gwarząc pogłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanym kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piers jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwyty wzniesione były do góry.

Lewa jej ręka przytrzymywała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaska, który wstrząsany głuchym łkaniem, z twarzą ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie.

Spod purpury ukazywały się od dawna widać nie łatanie przez matkę stare, spłowiałe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach...



rys. A. Uniechowski

szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychylał, przy czym znów zaczynała płakać i nos wycierała co chwila. Po tej dopiero operacji dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiu jadł, latala jego ubranie, poplaskując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od klucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiu zaczynał mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiu był srodze czymś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilia Trzech Króli...

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i „Małgorzatka tańcząca z huzarami”, ale prawdziwy teatr z żywych, mówiących osób, między którymi była śmierć, anioł i diabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsało się tak, że głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w moim życiu.

Wreszcie rozległy się na schodach ciężkie kroki i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez strasznego czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukiennym językiem diabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Za diabłem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalony, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret z pięknym, białym piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło spod ścian, postawił na środku pokoju, po czym schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chmurny, „w zamysłach”, ze spuszczoną głową; miał długą, czerwony, widocznie z poszwy jakiejś zaimprovizowany płaszcz, berło w

mu się załamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy lży niby iskry srebrne migają jedna za drugą.

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarknął, że się król „na nie zgapił”. Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, to zaś tej jedyniej w swoim rodzaju sytuacji tworzył piskliwy, perliczy głos anioła, który od początku przedstawienia, w równych odstępach wyśpiewywał zza pieca: Gloria! Gloria! in excelsis Deo!

Co do diabła — ten ani na chwilę nie stracił rezonu, ale stanąwszy przed królem Herodem uderzył w podłogę wielkim czarным dragiem i brzęknąwszy łańcuchem zaryczał:

— Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem Urbanową na stro-

Milcząc, pakowała żona walizkę. Wiedziała, że inaczej być nie może.

W godzinę później był już na dworcu i jechał do Zatoru.

Skawa, górską rzeką, zwykle spokojną, choć płynącą zawsze wartkim nurtem, dziś przyprowadziła ludzi o zgrozę. Szumiała i pieniała się, ogromne glazy toczyły się jak dziecinne łódeczki.

W Zatorze, przy moście sądny dzień. Całą robotą kierował Mazgaj. Zapomniał o świętach, nie czuł nawet zmęczenia po nieprzespanej w pociągu nocy. Walczył z towarzyszymi o każdy kawałek mostu. Jedna brygada wbijała, obok gotowych już fundamentów mostu, drewniane pale — dla ochrony. Dwie następne przenosiły żelazne konstrukcje

M o s t

(Dokończenie ze str. 3)

w dalsze miejsca, żeby nie zabrała ich woda. Inni — ryzykując życiem, przedarli się na most i stamtąd popychali dragami płynące kamienie, które w ten sposób omijały konstrukcję mostową. Nad ranem rzeka zaczęła się uspokajać. Rano zaś wszystko ucichło i Skawa znów płynęła wartko, spokojnie. Tylko w dyrekcji „Mostostalu” terkoty telefony, niepokój ogarnął wszystkich, wydzwaniał do różnych miejscowości i wysłuchiwał meldunków. Połączenie telefoniczne z Zatorem było zerwane.

— Most popłynął z prądem... — chodzący słuchy. Samochód z inżynierami pędził do Zatoru. Gdy zajechali na miejsce, nie wierzyli własnym oczom. Most stał, jak gdyby nigdy nie. Ani jedno prześło nie było uszkodzone. Po obu stronach rzeki równiutko poukładane materiały. Nawet pale pod mostem pozostały tak, jak je wbito w czasie po-

S. i N.

Ubranka DLA DZIECI



1) Strojna sukienka z lekkiej wełny dla dziewczynki 12-14 lat. Prosty staniczek bez kołnierzyka, zapinany z tyłu na małe guziczki. Bardzo suta spódniczka, układana w głębokie kontrafaldy. Jedyną ozdobę stanowi duża, drapowana szarfa, wiązana

2) Strojna sukienka dla dziewczynki 10-12 lat. Zapinana z tyłu na małe guziczki. Bardzo suta spódniczka, układana w głębokie kontrafaldy. Jedyną ozdobę stanowi duża, drapowana szarfa, wiązana

Od wyzwolenia kraju jest członkiem KC partii. Należy do czołowych działaczy państwowych. W latach 1945 - 1948 pracuje jako wojewoda śląski, następnie jest przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych, wiceprezesem Rady Ministrów, obecnie zaś Przewodniczącym Rady Państwa i Przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Z okazji 60-ej rocznicy urodzin, Aleksander Zawadzki otrzymał mnóstwo gratulacji z całego kraju i z zagranicy.

rosce o własne i
męskiego dobro - ma
świętego spokoju. (Bliższe
szczegółowe wyjaśnienia na ten
temat zostaną przesłane Szanownej
Redakcji po zrzeczeniu się małżon-
ków w „Lidze Ochrony Męża“).

*

Podając powyższe do ogólnej wiadomości Redakcja uważa, iż tego rodzaju Konstytucja Domowa spotka się z szerokim uznaniem Żon i Mężów społeczności naszej,

w przestrzeni międzyplanetarnej. Tu, na Ziemi, chroni nas przed nią gruba warstwa atmosfery, przez którą przenika tylko drobna część tego promieniowania.

Aparatura pomiarowa, którą instalowano na niemal wszystkich dotychczasowych sztucznych satelitach, miała właśnie na celu dokładne zbadanie charakteru i natężenia tego promieniowania, aby można było zapewnić przyszłym astronautom należyłą ochronę przed tym niebezpieczeństwem. Wyniki dotychczasowych pomiarów, zdają się wskazywać, że uda się zapewnić pasażerom rakiet wystarczającą osłonę.

Pozostaje wreszcie trzeci problem, nad którym należy się zastanowić: jak

kości słowa
i się do 24

szminki, kłopy, porzeczki,
(p.).

NA PROGU KOSMOSU

Jeśliby dziesięć lat temu ktoś zapowiedział, że w ciągu dziesięciolecia sprawy podróży kosmicznych staną się jednym z głównych tematów rozmów, dyskusji, artykułów gazetowych — uważano by go za fantasta. A dziś tak przyzwyczajaliśmy się do tych nowych dla ludzkości spraw, że największe sensacje przyjmujemy bez zdziwienia.

Jest to dla nas przykładem, jak szybko biegnie naprzód myśl ludzka, jak szybko rozwijają się nauki ścisłe. Najlepiej zresztą można to zauważyć na przykładzie trzech radzieckich rakiet kosmicznych — „Lunników”.

OD SPUTNIKÓW DO „LUNNIKÓW”

W średniowieczu najszybsze ówczesne pojazdy — wozy konne — rozwijały się ze stulecia na stulecie. Teraz rewelacyjne postępy możemy obserwować dosłownie z miesiąca na miesiąc. Wystrzelony na początku tego roku „Lunnik 1” zdołał osiągnąć tak zwaną drugą prędkość kosmiczną, to znaczy oderwać się od Ziemi i strefy przyciągania ziemskiego. (Jak wiemy, sputniki osiągnęły tylko pierwszą prędkość kosmiczną, to znaczy, że oderwały się od Ziemi, ale krążyły wokół niej, jak przywiązane na sznurku).

Wystrzelony w lipcu „Lunnik 2” był nie tylko zdolny do osiągnięcia drugiej prędkości kosmicznej, ale został tak precyzyjnie wycelowany, że trafił w tarczę Księżyca dokładnie w przewidzianym momencie. A już we wrześniu kolejny „Lunnik 3” potrafił okrążyć Księżyc w odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów, sfotografować drugą, nie ogladaną dotąd nigdy stronę naszego satelity, i wreszcie drogą radiową — tak jak przekazuje się programy telewizyjne — przelać te niezwykle zdjęcia do stacji odbiorczej na Ziemi. Oto mamy miarę postępu nauki w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy!

Równie poważny postęp osiągnięty został w rozmiarach wystrzelonych pocisków. Pierwsze sztuczne satelity ważyły kilkadziesiąt kilogramów, a ciężar „Lunników” przekraczał już półtorej tony. Pozwoliło to wyposażyć te pociski kosmiczne w poważną ilość aparatury pomiarowej i badawczej, tak, że „Lunika 3” nazywano nawet automatycznym laboratorium kosmicznym.

SPADAJĄCE GWIAZDY

Czy można zatem już powiedzieć, że nadszedł czas na loty kosmiczne z u-

działem ludzi? Czas ten jest już bardzo bliski, ale przed zrealizowaniem międzyplanetarnych podróży człowieka trzeba jeszcze rozwiązać kilka niełatwych zadań.

Jeszcze przed wystrzeleniem pierwszych sputników uczeni wiedzieli, że na przyszłych astronautów czyhają trzy poważne niebezpieczeństwa. Pierwszym z nich są meteory.

Czy widzieliście kiedyś spadające gwiazdy? Szczególnie w pogodne noce sierpniowe można zauważyć na niebie świetlisty ślad w kształcie smugi, widoczny w ciągu kilku sekund. W przeszłości ludzie, nie mogąc wytłumaczyć tego zjawiska, nazywali je spadającymi gwiazdami. Ta romantyczna nazwa pozostała, ale dzisiaj wiadomo, że świecący ślad pozostawiają drobne pyłki materii, które z przestrzeni międzyplanetarnej z ogromną szybkością (ponad 30 kilometrów na sekundę) wpadają w atmosferę ziemską i tu, wskutek silnego tarcia, spalają się, pozostawiając ognisty smug.

Te drobne okruchy materii — to właśnie meteory. Trafiają się wśród nich czasem większe, o wadze kilku kilogramów, a nawet ton. Większe nie zdążą spalić się całe w atmosferze i wtedy spadają na Ziemię w postaci tak zwanych meteoritów.

Meteory krążą w przestrzeni międzyplanetarnej po rozmaitych orbitach. Zderzenie rakiety z takim kosmicznym okruchem, dwadzieścia lub więcej razy szybszym od kuli karabinowej, mogłoby być katastrofalne w skutkach. Jednakże dotychczasowe doświadczenia, a także obliczenia teoretyczne wskazują, że możliwość zderzenia rakiety z meteorem jest niska. Spośród wyrzuconych w ciągu ponad dwóch lat licznych satelitów i „Lunników”, przypuszczalnie tylko „Lunnik 3” przeżył taką nieprzyjemną przygodę, bowiem jego nadajniki radiowe nieoczekiwanie zamilkły.

Uczeni biorą taką możliwość pod uwagę i pracują usilnie nad takimi środkami, które by dawały możliwość ocalenia załogi przyszłych rakiet, nawet w wypadku przebicia hermetycznej powłoki przez meteor.

JAK WRÓCĄ RAKIETY?

Inne niebezpieczeństwo dla przyszłych astronautów stanowi groźne dla zdrowia promieniowanie, istniejące w przestrzeni międzyplanetarnej. Tu, na Ziemi, chroni nas przed nim gruba warstwa atmosfery, przez którą przenika tylko drobna część tego promieniowania.

Aparatura pomiarowa, którą instalowano na niemal wszystkich dotychczasowych sztucznych satelitach, miała właśnie na celu dokładne zbadanie charakteru i natężenia tego promieniowania, aby można było zapewnić przyszłym astronautom należyłą ochronę przed tym niebezpieczeństwem. Wyniki dotychczasowych pomiarów, zdają się wskazywać, że uda się zapewnić pasażerom rakiet wystarczającą osłonę.

Pozostaje wreszcie trzeci problem, nad którym należy się zastanowić: jak

zapewnić międzyplanetarnym podróżnikom możliwość powrotu na Ziemię?

Rzecz wydaje się pozornie prosta, ale wcale taką nie jest. Uświadomić sobie musimy choćby taki fakt: żaden z wysłanych dotąd satelitów, ani żadna z rakiet międzyplanetarnych, nie miała najmniejszej możliwości powrotu na Ziemię w nienaruszonym stanie.

Jest to sprawa tak istotna, że warto ją wyjaśnić nieco szczegółowiej.

Mówiliśmy przedtem, że po to, aby przezwyciężyć przyciąganie ziemskie i ulecieć ku innym planetom, pocisk kosmiczny winien osiągnąć drugą prędkość kosmiczną. Wynosi ona ponad 11 kilometrów na sekundę. Dotychczas udało się nadać taką szybkość jedynie przy pomocy wielostopniowych rakiet, przy czym ogólny ciężar paliwa, zużytego do tego celu, był wielokrotnie większy, niż ciężar ostatniego członu rakiety.

Jeśli chcemy, by rakietą kosmiczną wrócić na Ziemię, musimy w jakiś sposób zmniejszyć jej szybkość. W innym bowiem wypadku spłonie ona w atmosferze tak samo, jak meteory, czy jak sputniki, które już zakończyły swój żywot. A jak tę szybkość rakiety odebrać?

(Dokończenie na str. 14)

W sześćdziesiątą rocznicę urodzin



Aleksander Zawadzki, wybitny działacz rewolucyjny, zasłużony i wieloletni bojownik o Polskę Ludową, ukończył 16 grudnia 60 rok życia.

Niemal od 40 lat kroczy w szeregach rewolucyjnego ruchu robotniczego. Życie Jego wypełnione jest walką o zwycięstwo wielkiej sprawy socjalizmu, wolności i niepodległości narodu polskiego.

Syn hutnika spod Dąbrowy Górniczej — pracuje w młodości jako górnik. Za działalność w KZMP i KPP zostaje skazany i przez wiele lat więziony. Zza krat wyrывa się we wrześniu 1939 r. i przedziera na Wschód. Bierze udział w obronie Stalingradu. Jest jednym z organizatorów Rady Związku Patriotów Polskich i Wojska Polskiego w ZSRR.

Wybitna jest rola Aleksandra Zawadzkiego w budowie i umacnianiu partii klasy robotniczej i ludowego państwa.

Od wyzwolenia kraju jest członkiem KC partii. Należy do czołowych działaczy państwowych. W latach 1945 — 1948 pracuje jako wojewoda śląski, następnie jest przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych, wiceprezesem Rady Ministrów, obecnie zaś Przewodniczącym Rady Państwa i Przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Z okazji 60-ej rocznicy urodzin, Aleksander Zawadzki otrzymał mnóstwo gratulacji z całego kraju i z zagranicy.

PRAW I OBOWIĄZKÓW uchwalone

Artykuł 6

Żona ma nie tylko prawo, ale i obowiązek domagać się od męża taktu i delikatności uczuć. Wyrazem owej delikatności są: pamięć o dniu imienin żony, o rocznicy pierwszego poznania, o rocznicy ślubu, o choince, o Międzynarodowym Dniu Kobiet, o Dniu Matki, o Dniu Dziecka.

Ponadto żona ma prawo do otrzymywania kwiatów bez specjalnych okazji i okoliczności rodzinnych lub państwowych.

Artykuł 7

Żona ma prawo do oświaty, tj. właściwej ilości czasu na oddawanie się życiu towarzyskiemu. Dla zapewnienia tej możliwości mąż winien między innymi:

a) dwa razy w miesiącu (w niedziele) zastąpić żonę w utrzymywaniu ogniska domowego (gotowanie obiadu, spacer z dziećmi, mała przepierka itp.);

b) w dniu powszednim nie krzywić się na „wypadanie” na plotki,

Artykuł 8

Żona ma prawo do wolności słowa. Czas przemówień ogranicza się do 24 godzin na dobę.

Artykuł 9

Żona ma prawo do zazdrości (szczególnie, jeśli „obiekt” został zidentyfikowany).

Artykuł 10

Każda żona posiada prawo od „odmładzania się”, to znaczy zatajania swego wieku i dyskrecji w tym względzie ze strony współmałżonka,

II. PRAWA I OBOWIĄZKI MĘŻA

(przez mężów uchwalone)

Artykuł Pierwszy i Ostatni

Każdy mąż — w trosce o własne i całego rodzaju męskiego dobro — ma prawo do świętego spokoju. (Bliższe i szczegółowsze wyjaśnienia na ten temat zostaną przesłane Szanownej Redakcji po zrzeczeniu się małżonków w „Lidze Ochrony Męża”).

*

Podając powyższe do ogólnej wiadomości Redakcja uważa, iż tego rodzaju Konstytucja Domowa spotka się z szerokim uznaniem Żon i Mężów społeczności naszej,

Anegdoty

NA DWORSKIM BALU

Adela Sandrock, znana swego czasu artystka operowa, zaproszona została na wielki bal dworski w Wiedniu. Stojąc samotnie w rogu balowej sali obserwowała tańczące pary. W pewnej chwili zwrócił się do niej oficer cesarskiej gwardii:

— Szanowna pani nie ma zapewne na czym usiąść?

Adela Sandrock, spoglądając na kształtną linię swego dość obficie odświeżonego ciała, odrzekła:

— Na szczęście mam. Brak mi tylko krzesła.

GALANTERIA



Filozof angielski, David Hume, (1711–1776), który na stare lata utył niezmiernie, jechał kiedyś statkiem wraz z piękną lady Wallane. W drodze zaskoczyła ich gwałtowna burza.

— Staniemy się niewątpliwie pastwą ryb — z największym spokojem oświadczył filozof swej towarzyszce.

— Ciekawa jestem, kogo one najpierw pożrą, mnie czy pana? — zapytała urocza lady.

— Zaręczę, że zrzucą się zapewne na mnie — odparł Hume — ale za to smakosze wybiorą sobie panią.

CHCECIE, WIERZCIE...

Panna Magdalena de Scudery, cenniona powieściopisarka z XVII stulecia, mimo podeszłego wieku, nie pozabawiona była wdzięku i dowcipu. Gdy ją pewnego razu zapytano, czy prawda jest, że liczy już 70 lat! — odpowiedziała:

— O ile chcecie wierzyć metryce — to tak!

SOKRATES I KSANTYPA



Sokrates, najmądrzejszy z mądrych, opowiadał jednemu z uczniów, który go pytał o małżeństwo:

— Tylko się ożeń. Dostaniesz dobrą żonę — będziesz szczęśliwy przez całe życie: przypadnie ci zła żona w udziale, będziesz miał sposobność zostać filozofem.

Ksantypa, która usłyszała te słowa małżonka, popadła w niezmiernie wzburzenie, i po należytym zwmysłaniu filozofa wylała mu pełną stągiew pomyj na głowę. Na to Sokrates powiedział zrezygnowany:

— Zawsze przecież byłem tego zdania, że po grzmotach pada deszcz.

W. LUBKOWSKA

Wszystkiego najlepszego

(Z pamiętnika sublokatorki)

21. PONIEDZIAŁEK.

Dobrze jej tak, dobrze jej tak! Nie, żebym była mściwa, ale kto jej każe wstawiać swoje mleko na moją kase? Bardzo się cieszę, że jej wykpiąło, że zalało całą fajerkę! Wielka szkoda, że nie całą kuchnię! I żeby tak jeszcze poplamilo jej tę nową sukienkę, w której nie wiadomo po co chodzi do pracy... I żeby... Eh, lza się w oku kręci...

23. ŚRODA.

Ja ciasto do pieca, to ona mówi, że jej rośnie i że też musi! Ja mak do maszynki, to ona za grzyby i też do maszynki!

— A żeby tak pani ciasto opadło, jak ten kapelusz, co go sobie pani kosztem całej rodziny sprawiła w zeszłym roku — radzę jej życzliwie. A ona zaraz:

— A żeby panią tak pokreśliło, jak ten mak w mojej maszynce, za moje ciężko zapracowane pieniądze kupionej!

Na zakończenie, kiedy jej się już przypaliło ciasto, a moje miało zakalec na dwa palce, życzyłyśmy jeszcze sobie paru przyjemnych rzeczy:

— Żebyś tak pani niczego dobrego w życiu nie zaznała za te prześladowanie nieszczęsnej lokatorki we wspólnej kuchni! — powiedziałam jej od serca. A ona mi się zrewanżowała:

— A mieszkaj sobie pani całe życie we wspólnym mieszkaniu i nigdy własnego kąta na oczy nie oglądaj! Byle nie ze mną, byle nie ze mną, bo z taką zgaga życie brzydnie!

24 GRUDNIA

Godzina 8 rano.

Wstałam wcześniej, bo trzeba było puścić radio, żeby obudzić tę fladę, żeby wstała i posprzątała przedpokój. No i wstała...

— Jak to — mówię do niej — to ja tylko sama przejdę raz na dzień tam i z powrotem przez przedpokój, a jak co do czego przyjdzie, to ja mam sprzątać po całej pani rodzinie? Tego się pani nie doczeka!

— Doczekam się, kochana, doczekam! — ona na to. — I tego, że pani przedpokój sprzątnie, i tego, że panią stąd milicja pewnego pięknego dnia



prosto na komisariat wyprowadzi! I niech mi pani nie opowiada, że raz dziennie przez przedpokój przechodzi! A do ubikacji, to kto sto razy tam i z powrotem spaceruje? Król?

— Sto razy? — pytam. — Sto razy? A żebyś tak sama musiała dwieście razy za swój niewyparzony język tam i z powrotem ganiać! Żeby cię stąd pogotowie wywozio! Dobrze, jak trzy razy z urzędnika skorzystam i za to mam przedpokój sprzątać? Nie doczekasz tego, żebyś tu nawet w ziemię wrosła!

GODZINA 13.00

Ja tu wykańczam na łeb na szyję uszka do barszczu, a ona do mnie, że-bym jej stolnicę dała.

— Ja bym ci dała! — mówię, a ona zaraz:

— A udław się swoją stolnicą, ty nieużytku!

GODZINA 17.00

Pierwsza gwiazdka zaświeciła już na niebie. Moja gospodyni zasiada już do stołu wraz ze swą rodziną. Do mnie przybyli wuj Atanazy wraz z cioteczka. Ale zanim obie zabrałyśmy się do spożywania wigilijnych przysmaków, wzięłyśmy talerzyk z opłatkiem i wyszłyśmy do przedpokoju. Spotkałyśmy się na środku, obie odświeżenie ubrane, obie odświeżenie uśmiechnięte.

— Kochana — mówię — żeby się pani dziecięcki zdrowo chowała, żeby wyrosły na pociechę! Żeby troski i kłopoty ten dom omijały!

— Nawzajem, kochana, nawzajem! — ona na to. — Żeby się drogiej pani jeszcze życie pomyślnie ułożyło, żeby pieniążków, broń Boże, nie brakowało, żeby zdrowko w jak najlepszym porządku! Wszystkiego najlepszego.

— Wszystkiego najlepszego — odpowiedziałam i ucałowałyśmy się z całego serca.

28. PONIEDZIAŁEK

Dobrze jej tak, dobrze jej tak! Nie, żebym była mściwa, ale kto jej każe wstawiać swoje mleko na miejsce mojej kasy? Bardzo się cieszę, że jej wykpiąło, że zalało całą fajerkę! Wielka szkoda, że nie całą kuchnię! I żeby tak jeszcze poplamilo jej tę nową sukienkę, w której nie wiadomo po co chodzi do pracy. I żeby... Eh, lza się w oku kręci...

Bo czy to kto kiedy wysłucha życzeń biednej sublokatorki w pokoju ze wspólną kuchnią...?

NAJPIĘKNIEJSZE ODKRYCIE

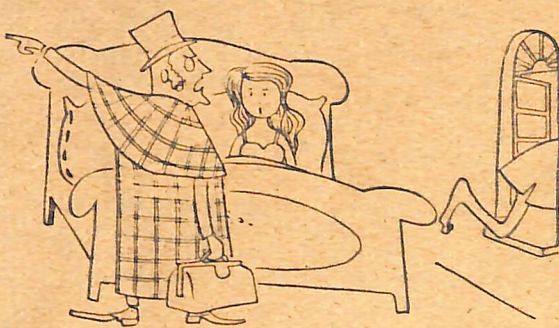
Kiedyś zaproszono genialnego uczonego, twórcę teorii względności, Alberta Einsteina (1879–1955), do Hollywood na pokaz filmu, który przedstawiał podróż na Księżyc. Po projekcji wydano na cześć uczonego przyjęcie, na którym zgromadziły się gwiazdy filmowe. Zjawiała się również Rita Hayworth i przystąpił do niego Einstein, postawiła mu nagłe pytanie:

— Mistrzu, czy może mi pan powiedzieć, które z odkryć chemicznych jest najpiękniejsze?

Einstein popatrzył chwilę na jej czarnobrowowe lśniące włosy i powiedział z uśmiechem:

— Bez wątpienia rude kobiety,

URAŻONA



Lord Boorlen przwłapał swoją żonę, znaną zresztą awanturnicę, na gorącym uczynku niewierności małżeńskiej.

— Nędzna, precz z mojego domu! — woła ośzukany mąż.

— Mnie się zdaje, że ty od dawna szukasz okazji pozbycia się mnie — rzecze miss Boorlen, z urazą w głosie.

KTÓRE KOBIETY SĄ NAJWIERNIEJSZE?

Wielki filozof niemiecki, Emanuel Kant (1724–1804) odznaczał się dużą spostrzegawczością i trafnością swych uwag. Zapytano go raz:

— Które kobiety najbardziej dochowują wierności: brunetki czy blondynki?

— Siwe — odparł z uśmiechem filozof.



Teksty opr. M. A. Rys. J. Królikowski



KOTYLIONY

Przyjemną tradycją na zabawach są kotyliony. Podajemy kilka, które łatwo zrobić.

Serce przebite strzałą. Wycinamy z tekturki serce według rysunku 1. Naklejamy z jednej strony trochę waty, następnie wycinamy większe nieco serce z czerwonego jedwabiu. Tekturkę z watą obciągamy jedwabiem i przyklejamy do lewej strony, mocno napinając.

Strzałkę wycinamy według rysunku 2, oklejamy ją srebrnym papierem, zginamy w miejscu wykropkowanym tak, żeby była nieco wypukła i przyklejamy do lewej strony serca, jak na rysunku 1.

Serce z kluczykiem (rys. 2) robimy podobnie. Kluczyk oklejamy z obu stron złotem lub srebrnym papierem i również zginamy według linii wykropkowanej. Zawieszamy go na pęczku czerwonych wstążeczek, który przypinamy do serca.

Wążka (rys. 3). Wycinamy tulów z tekturki według wykroju 3. Obszywamy go zieloną aksamitką, następnie naszywamy na cały tulów zielone cekiny, a na oczy — złote cekiny. Skrzydelka z kalki kreślarskiej wycinamy według wykroju. Żyłki na skrzydłach malujemy białą lub szarą farbą.

DLA KAŻDEGO COŚ DOBREGO

KARNAWAŁ

Zastanawiasz się, czy wypada, by chłopiec, z którym umówiłaś się na zabawę, wstępował po ciebie do domu. Powinien wstąpić. Jeśli z jakichś względów mogłoby cię to kłopotować — umówcie się u kogoś, kto mieszka po drodze i stamtąd wyruszycie całą gromadą.

A więc — ostatnia kontrola w lustrze — czy włosy dobrze uczesane, czy pomadki na ustach nie za wiele, policzki nie nazbyt różowe i brwi nie za ciemne. Wszystko w porządku — ruszasz na „punkt zborny“.

Weseli, uśmiechnięci, ale nie hałaśliwi — wchodzą na salę. Chłopcy szukają wolnego stolika. Jest. To dobrze, bo zawsze to wygodniej przy stoliku. Jest gdzie odpocząć po tańcu, wygodniej zjeść ciastko, wypić herbatę, czy kieliszek wina.

Nie patrz zazdrośnie, że Wandzia czy Hania ma elegancką sukienkę od twojej. Nie sukienka będzie się bawić, lecz ty. Żadnych dasów, grymasów — z tym będą tańczyła, a z tym nie. Nawet z zupełnie obcym chłopcem możesz zatańczyć, jeśli poprosi cię tak, jak należy. A więc ukloni się spokojnie, ewentualnie spyta twego partnera, czy może z tobą zatańczyć. W rękę nie musi całować ani przed, ani po tańcu. Ale koniecznie powinien cię odprowadzić na miejsce, podziękować i znowu uklonić się.

Może się zdarzyć, że wszyscy z twego towarzystwa tańczą, a tylko ty zostałaś przy stoliku. Posiedzieć dwa czy trzy tańce, to żaden wstyd, ani żadna hańba. Odpoczniesz trochę, albo skorzystasz z okazji i w garderobie przypudrujesz twarz, poprawisz włosy. Mina nadąsanej królowej lub nieszczęśliwego kopciuszka na zabawie jest niedopuszczalna. Naturalność, uśmiech, pogodny uśmiech — troski zostały w domu, a puszyć się nie ma czego.

Jesteś oburzona, że mężczyźni co chwila znikają w bufecie i zaniedbują was? Słuszne oburzenie. Mogli iść sami, jeśli chcieli tylko pić. Zabawa — to taniec, wesola rozmowa, jakieś gry, jeśli ktoś umie je zorganizować — ale nie pijactwo.

Kto płaci? Każdy za siebie. Chyba, że chłopiec bardzo się upiera, a ty wiesz, że go to nie zrukuje. Wtedy zrezygnuj ze swojej „samodzielnosci“.

Czy chłopiec musi cię po zabawie odprowadzić do domu? Powinien. Starczyło czasu i siły na hasanie całą noc, niechże starczy jeszcze na eleganckie zakończenie zabawy. Chłopcy powinni się z sobą umówić, kto kogo odprowadzi.

Przy pożegnaniu wzajemnie podziękowanie za miłą zabawę, przyjemny nastrój, humor.

W domu już tylko umyć się i spać. Powieki się kleją. Ale ty zdajesz się płynąć w tańczącym rytmie dopiero co przebrzmiałych melodii. Marzysz już o następnym balu. Życzymy dobrej zabawy!

I. M.



Podaj gulasz z kluskami, łyżką kładzionymi lub z ziemniakami.

PIEROŻKI

Resztki mięsa, usiekaną i zrumienioną na tłuszczu cebulę przepuść przez maszynkę. Jeśli masz trochę kapusty, to możesz ją usiekać i mieszać ze zmielonym mięsem. Dodaj łyżeczkę margaryny, nieco soli, pieprzu i wymieszaj starannie farsz.

Z maki, jajka i wody zagnieć ciasto na pierogi, rozwałkuj cienko, formuj pierogi i nadziej je farszem. Pierogi wrzucaj partiami na wrzącą, osoloną wodę i po ugotowaniu wyjmuj łyżką cedzakową.

Podawaj ze skwarkami. Surówka z warzyw bardzo podniesie smak pierogów.

NALEŚNIKI Z MIĘSEM

Farsz do naleśników przyrządź tak samo, jak do pierogów. Z maki, jajka i zsiadłego mleka lub wody zrób ciasto na naleśniki. Patelnię wysmaruj skórą od słoniny i smaź cienkie, niezrumienione naleśniki. Nałóż na nie farsz i zawini w rulonik, lub złoż w „chusteczkę“. Następnie podsmaż naleśniki na margarynie.

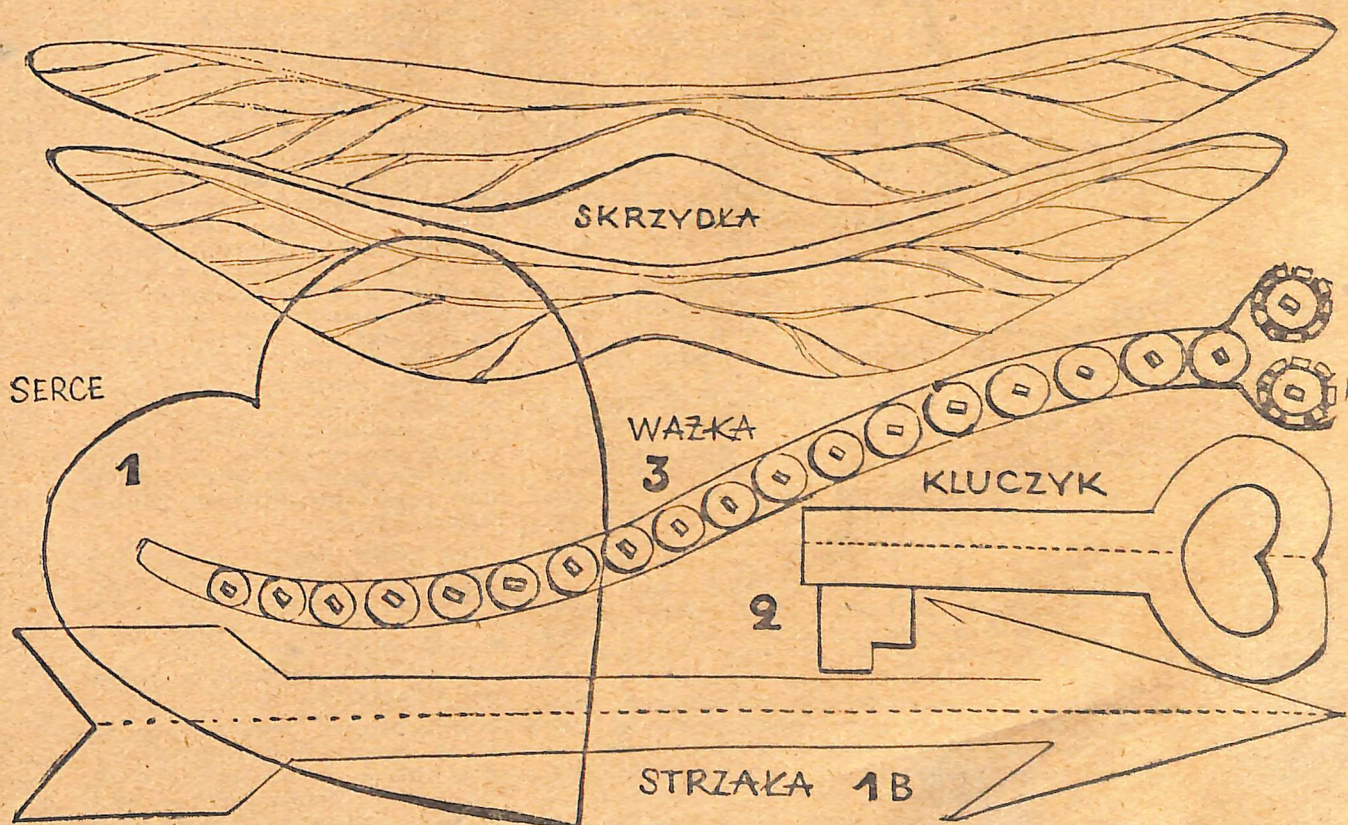
Naleśniki podane z surówką z warzyw będą również bardzo smaczne.

RESZTKI POŚWIĄTECZNE

Święta skończyły się, ale resztki po nich — pozostały. Żebyś nie wiem jak dobrze obliczyła zakupy, to i tak przecież nie utrafisz w sam raz. A tu maż i dzieci wykrzywiają się i grymaszą, że nie chcą tych okrawków i „piętek“ mięsnych. Dobrze, zrobisz im więc taki obiad, że nawet się w nim nie domyślą smętnych, poświęconych resztek.

GULASZ

Średnią marchew i pietruszkę oczyść, obmyj, zetrzyj na grubej tarce i ugotuj na pół miękko w małej ilości wody. Dużą cebulę pokrój w kostkę, zrumień na margarynie i przełóż do podgotowanych warzyw. Także wszystkie resztki mięsa pokrój w kostkę i włóż do warzyw. Resztki tłuszczu i sosu z rynienki po mięsie splucz małą ilością wody i wlej do garnuszka, w którym przyrządzasz gulasz. Gdy warzywa będą miękkie, dodaj łyżkę przecieru pomidorowego, 2 łyżki śmietany, podpraw solą i pieprzem do smaku.



Kartki z podróży

Kto jest ojcem?

TO on, proszę wysokiego sądu! To on jest ojcem mojego dziecka! Teraz to się, bezwstydnik, żywe oczy wypiera... A mało to ludzi widziało, jak ze mną chodził? Niech ten świadek powie...

— Nie, proszę wysokiego sądu, nie jestem ojcem tego dziecka. To prawda, że parę razy się z nią umówiłem, ale nigdy między nami nic nie było...

— Tak, proszę wysokiego sądu, ja wiem najlepiej, że ze sobą chodzili, bo ja ją znam od dawna. Ona sama mi mówiła, że to on...

— Nie, proszę wysokiego sądu!...

— Tak, proszę wysokiego sądu!...

*

ZAISTE, twardy miał orzech do zgryzienia profesor Sandor Ökrös (czytaj Szandor Ekresz), dyrektor Instytutu Kryminalistyki węgierskiego

Profesor postanowił przeprowadzić eksperyment: zdjął odciski palców — matki, dziecka, oskarżonego o ojcostwo, oraz... świadka. I co państwo powiecie? Ojcem — okazał się... świadek! Na zdjęciu, które tu widzicie, wszystko widać najwyraźniej. Przyrzycie się, proszę. Widzicie te — ciemniejszą kreską pociągniętą — linie palców dziecka? Są one takie same, jak linie matki i prawdziwego ojca.

Jest rzeczą naukowo dowiedzioną, że nie ma dwóch osób o jednakowych liniach papilarnych, ale profesor Ekresz dowiódł ponadto, że pewne partie linii, pewne spłoty, zwane minucjami, dziecko musi odziedziczyć zarówno po ojcu jak i po matce.

W omawianym przez nas przypadku, u dziecka nie znaleziono ani jednej linii, która by pochodziła od wskazanego przez jego matkę mężczyzny... Natomiast wiele linii dziecko

Profesor Ekresz opracował całą aparaturę dla swoich badań. W jego laboratorium znajdują się stopy specjalnych płytek celofanowych, na których ustala się setki i tysiące odcisków palców; jest tu niezmiernie ciekawy powiększalnik, oraz rzutnik pomysłu profesora, i wiele innych skomplikowanych urządzeń. A wszystko po to, aby nie mogły zaistnieć żadne pomyłki, by już żaden ojciec nie mógł się wyprzeć swojego dziecka.

*

NIE różami jednak ustana była droga profesora Ekresza. Ile jego metoda budziła wątpliwości i z jakim niedowierzaniem przyjmowano jego pierwsze próby badawcze — najlepiej świadczy fakt, iż choć węgierski Urząd Patentowy uznał ów wynalazek już 14 kwietnia 1955 roku, to przecież pełnoprawny patent przyznano profesorowi dopiero w cztery lata później, dokładnie w dniu 11 marca 1959 roku.

Wynalazek profesora Ekresza robi prawdziwą furorę na całym świecie. Z różnych zakątków kuli ziemskiej płyną do Budapesztu listy od lekarzy, prawników, kryminologów. Profesor Ekresz napisał wiele artykułów o swojej metodzie, jest też autorem książki, która wkrótce ma być przetłumaczona również na język polski.

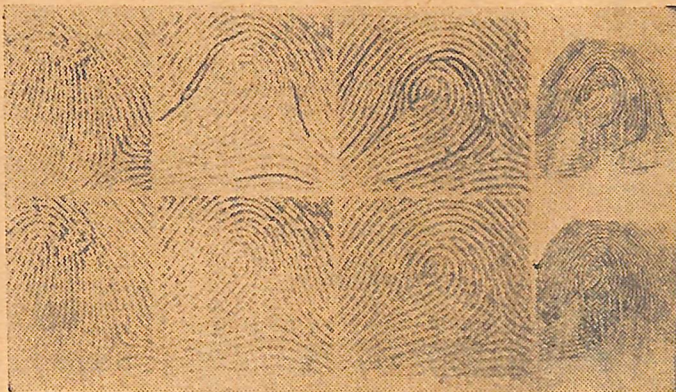
— Mogę się chyba spodziewać jakiegos łuta wdzięczności od mężczyzn, niesłusznie posądzanych o ojcostwo, prawda? — powiedział ze śmiechem na zakończenie rozmowy profesor. — Już im teraz naprawdę nic nie grozi...

— To oczywiście żart, profesorze. Ale zasłużył pan sobie istotnie na dożgonną wdzięczność wszystkich samotnych matek, które dotychczas niejednokrotnie przeżywały prawdziwą gehennę, zanim sąd zdołał ustalić ojcostwo, i zasądzić nieuczciwych ojców na płacenie alimentów...

M. K.

Odciski palców:

- 1) obwinionego,
- 2) matki,
- 3) „świadka”,
- 4) dziecka



Ministerstwa Sprawiedliwości, gdy stawiał przed sobą nie lada zadanie: opracować taką metodę, która pozwoli bezbłędnie ustalić ojcostwo.

Na pytanie, jak doszło do tego niezwykłego wynalazku — profesor odpowiedział z uśmiechem:

— Gdyby pani zadała pytanie Kolumbowi: jak wpadł na pomysł odkrycia Ameryki, co by odrzekł? Że to był czysty przypadek, prawda? Ale mówiąc serio, było to tak: Od długich lat pracuję w Instytucie Kryminalistyki i wiem, jak ogromną pomocą przy wykrywaniu wszelkich przestępstw są odciski palców. Zresztą, nie trzeba chyba tego szerzej omawiać. Każdy czytelnik powieści kryminalnych (a któż ich nie czyta?) wie, co to są i jaką mają wagę te odciski. Więc sobie tak dumalem: jeżeli odciski palców są aż tak „wymowne”, to czy aby nie kryją one jeszcze innych tajemnic?... I tak się to właśnie zaczęło...

*

NA czym więc polega wynalazek profesora Ekresza? Otóż — odczytuje on ojcostwo właśnie... z linii papilarnych. Brzmi to niemal jak bajka, a przecież przeprowadzono już setki prób i wszystkie — rozumiecie — wszystkie! — potwierdziły słuszność twierdzeń profesora.

Rozprawa alimentacyjna, przytoczona na początku niniejszej relacji, jest jak najbardziej autentyczna. Matka dziecka oskarżyła o ojcostwo mężczyznę, który wypierał się tego wszystkimi siłami, chociaż przeciwko niemu występował również koronny świadek owej niewiasty. A więc — dwoje przeciwko jednemu, bo przecież kilkumiesięczny dzieciak, choć w całej tej sprawie osoba najważniejsza — niestety nie mógł zabrać głosu. „Na oko” — należałoby dać wiarę zeznaniom matki, popartym świadectwem osoby trzeciej. Ale wyraz twarzy obwinionego nie dawał jakoś spokoju profesorowi.

odziedziczyło właśnie po owym niefortunnym świadku.

Pytałam profesora, jaki był finał rozprawy sądowej. Okazuje się, że po zademonstrowaniu zdjęć, „świadek” załamał się i przyznał, iż jest faktycznie poszukiwanym ojcem. Załamała się też i matka niemowlęcia.

Na szerokim świecie

„CIEPLEJ”? — NAJWYRAŹNIEJ

BYLA to owocna sesja. Sesja kompromisu, uzgodnionych decyzji, ważnych postanowień.

Na tej właśnie XIV Sesji Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych premier Chruszczow wystąpił z propozycją powszechnego rozbrojenia. W toku obrad tej Sesji została przyjęta wspólna radziecko-amerykańska rezolucja o rozbrojeniu i to przyjęta jednogłośnie przez wszystkich 82 członków ONZ.

Jednogłośnie została uchwalona także inna ważna rezolucja: powołanie 24-osobowej komisji dla spraw pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej.

Działalność polskiej delegacji na XIV Sesji była bardzo ożywiona i owocna. Polska była współautorem wielu rezolucji, brała udział w pracach różnych komisji. Po raz drugi też została wybrana do Rady Gospodarczo - Społecznej. A ponadto — Polska wygrała wreszcie batalię o wybór do Rady Bezpieczeństwa.

Choć nie wszystkie jeszcze sprawy zostały rozwiązane, jak na przykład uznanie praw Chin Ludowych w ONZ, to jednak na sali obrad XIV Sesji Ogólnego Zgromadzenia Narodów, na posiedzeniach komisji, podczas rozmów między poszczególnymi — panowała atmosfera wyraźnego „ocieplenia”, przekonania, że wszystkie sporne sprawy można i należy rozstrzygać metodą pokojową.

SUKCES I DOBRA WOLA

I jeszcze jedna ważna sprawa z forum ONZ. Otóż — delegacje wielu narodów, które dawniej kroczyły ślepo za USA — wykazały teraz znaczną samodzielność. Chodzi o miejsce w Radzie Bezpieczeństwa. Pisaliśmy (Nr 47), że zgodnie z porozumieniem londyńskim, Wschodnia Europa ma prawo do jednego niestałego miejsca w Radzie. W tym roku Polska wystawiła swoją kandydaturę. Wystawiła swoją kandydaturę również Turcja, mimo że leży bardziej w Azji Mniejszej niż w Europie. Zakulisowe starania delegacji amerykańskiej, by przechylić szalę na rzecz Turcji — poniosły porażkę. I tak oto, po raz pierwszy w historii Narodów Zjednoczonych, mimo niewybrednej propagandy, a nawet prób stosowania nacisku — kandydatura państwa socjalistycznego uzyskała poparcie także przedstawicieli krajów, związanych z USA.

Ten dowód uznania i sympatii dla Polski, jest wynikiem przede wszystkim naszej pokojowej polityki zagranicznej. A ponadto zaważyło ogólne dążenie narodów do odprężenia, do polepszenia stosunków między Wschodem a Zachodem.

Dwumiesięczna batalia wyborcza nad kandydaturą do Rady Bezpieczeństwa zakończyła się więc sukcesem Polski. W 51 głosowaniach — 42 razy Polska uzyskała przewagę. Turcja wycofała swoją kandydaturę, Polska uży-

Kto może zwolnić się w Wigilię i 2 stycznia?

24 bieżącego miesiąca i 2 stycznia 1960 r. są normalnymi dniami pracy,

Jeśli chodzi o zakłady produkcyjne, to w dniu 24 bm. mogą być zwolnione od pracy całe obsady drugiej i trzeciej zmiany lub jednej z tych zmian, pod warunkiem odpracowania, w niedzielę 20 bm, pełnej liczby godzin pracy, przewidzianych na te zmiany. W sobotę, 2 stycznia 1960 r. załogi zakładów produkcyjnych mogą być zwolnione od pracy pod warunkiem odpracowania pełnej liczby godzin, przewidzianej na dzień zwolnienia — w dniu 3 lub 6 stycznia lub w jedną z następujących niedziel — nie później jednak niż 17 stycznia.

Zwolnienia w dniu 24 bm. i 2 stycznia 1960 r. mogą być dokonywane przez dyrekcję zakładów produkcyjnych na wniosek załogi oraz po uzyskaniu zgody jednostki nadrzędnej. Zwolnienia nie mogą powodować niewykonania zadań produkcyjnych w grudniu lub styczniu. Nie mogą one ponadto być stosowane w odniesieniu do pracowników, zatrudnionych w ruchu ciągłym, oraz w zakładach użyteczności publicznej i usługowej, jak szpitale, zakłady żywienia zbiorowego, sklepy itp.

Pracownicy zatrudnieni w urzędach i instytucjach państwowych mogą uzyskać indywidualne zwolnienia z pracy jedynie w dniu 2 stycznia, pod warunkiem zadeklarowania na Fundusz Budowy Szkół dla uczczenia Tysiąclecia Polski — 1/30 części swego miesięcznego uposażenia wraz ze wszystkimi dodatkami.

Zamiast deklarowania 1/30 uposażenia na Fundusz Budowy Szkół, na prośbę pracownika, który nie wykończył w pełni urlopu wypoczynkowego za rok bieżący, dzień zwolnienia należy zaliczyć na ten urlop, a pracownikom o dłuższym stażu pracy — również na poczet urlopu wypoczynkowego za rok przyszedły.

Zwolnienia indywidualne muszą być tak przeprowadzone, aby zapewnić pozostanie w pracy części pracowników, niezbędnej dla obsługi interesantów i załatwiania pilnych spraw.

TRZY LATA I JEDEN DZIEŃ

W roku 1960 Paryż obejrzy wystawę malarstwa rosyjskiego i radzieckiego, zespoły pieśni i tańca, solistów, czołowych sportowców i najlepsze radzieckie filmy. Związek Radziecki proponuje Francji rozszerzenie współpracy turystycznej, po raz pierwszy szeroką wymianę ludzi nauki, wzajemne wywiady telewizyjne itp.

Trzy lata dotychczasowej współpracy kulturalnej między Związkiem Radzieckim i Francją były jakby początkiem rozszerzonej i podpisanej obecnie w Paryżu umowy. Przedstawiciele obu państw stwierdzili, że możliwości są ogromne i należy je jak najszybciej wykorzystywać.

Jest to jeszcze jeden dowód, że istnieją możliwości zgodnej współpracy państw o różnych ustrojach.

Z. S.



UZASADNIONA NIEUFNOŚĆ

HELENA Z. Z KROTOSZY- NA pisze: „Przed kilku laty, jako młoda dziewczyna, poznałam Mietka. Zakochał się on we mnie — jak to mówią — od pierwszego spojrzenia i nieomal prześladował mnie swoją miłością. Mietek nie podobał mi się, ale po pewnym czasie jego uczucie sprawiło, że i mnie zaczęło się zdawać, że go kocham. Rodzicom moim Mietek bardzo się podobał i nalegali, abym wyszła za niego. Ustaliliśmy więc, że po odbyciu służby wojskowej, którą właśnie rozpoczynał, pobierzemy się.

Po jego wyjeździe z przerażeniem stwierdziłam, że jestem w ciąży. Przerażenie moje zmieniło się w rozpacz, gdy na mój list otrzymałam od Mietka odpowiedź, że zrywa ze mną i nie przyznaje się do ojcostwa. Nie będę Ci opisywała „Przyjaciółko“, co wówczas przeżyłam i ile miałam przykrości ze strony rodziców. No, ale to już jest poza mną. Dziś mój synek ma pięć lat. Jest on moją największą radością.

Mietek ożenił się. Mnie ani znać nie chciał, dzieckiem też się zupełnie nie interesował. Na rozprawie sądowej wyparł się ojcostwa, sąd jednak przyznał mi alimenty.

Dłuższy czas unikałam wszelkich znajomości z mężczyznami, gdyż krzywdę doznałam od Mietka rozciągając na nich wszystkich. Przed rokiem jednak poznałam człowieka, którego pokochałam. Jest dobry nie tylko dla mnie, ale — co ważniejsze — i dla mego synka. Dziecko za nim po prostu przepada.

Mamy się pobrać, ale na drodze stanął mi znów Mietek. Odszedł niedawno od żony i córeczki, i... zapalał nową miłością do mnie i do Andrzeika. Unikam go, nie chcę go widzieć, lecz rodzice przyjmują go bardzo serdecznie. Robią mi awantury, że nie chcę wyjść za mąż za człowieka, który jest ojcem mego dziecka i będzie dla niego na pewno lepszy niż obcy.

Ja w to nie wierzę. Mietka nienawidzę i te ciągłe awantury zatrzuwają mi życie“.

Droga Czytelniczko! Dziwi nas bardzo stanowisko Twoich rodziców i ich niezrozumienie uzasadnionej słabości do Mietka. Zarówno w stosunku do Ciebie, jak i do żony, okazał się człowiekiem lelkomyślnym, bez poczucia odpowiedzialności.

Rozumiemy Twoją niechęć do Mietka, który wyrządził Ci wielką krzywdę, zostawił w ciężkiej sytuacji i nie interesował się Twoim losem.

Dziś, kiedy przebolełaś tamten zawód, kiedy urządziłaś sobie życie i spotkałaś uczciwego człowieka, Mietek jak

zły duch staje znowu na Twojej drodze.

Masz prawo i obowiązek przeciwstawić się woli rodziców, tym bardziej że Mietek nie jest wolny i jego miejsce jest przy żonie i dziecku.

ZYCZENIA ŚWIĄTECZNE

ANNA G. Z OŁKUSZA pisze: „Przed świętami i Nowym Rokiem zastanawiamy się z mężem, komu powinniśmy wysłać życzenia. Mamy dużą rodzinę i sporo znajomych, o nas też dużo znajomych pamięta, ale jednego roku przysłał życzenia, innego zapomną.

Jak wybrnąć z tej sytuacji, żeby nie zrobić nikomu przykrości?“

Droga Czytelniczko! Karty z życzeniami świątecznymi, czy noworocznymi niekoniecznie musisz posyłać wszystkim znajomym. Wystarczy jeśli je wyślesz tym najbardziej zaprzyjaźnionym, z którymi utrzymujesz stały kontakt.

Kolegom z pracy, czy sąsiadom — nie wysyła się życzeń, bo to można zrobić osobiście.

Bliskim znajomym i rodzinie, życzenia można również przysłać w liście, nawet dwa tygodnie wcześniej, lub kilka dni później.

O kim bardzo radzimy pamiętać, to o ludziach samotnych, chorych, starych... Dla nich będzie szczególną przyjemnością to, że ktoś o nich pamięta. To już nie będzie zwykła forma grzecznościowa, ale jakiś ludzki, dobry uczynek w stosunku do drugiego człowieka.

Zyczenia świąteczne i noworoczne można wysłać razem — to całkowicie wystarczy.



JANINA R. Z NOWEJ HUTY pisze: „Moja dwuletnia córeczka ma na całym ciele pokrzywkę. Drapie się do krwi, w nocy wcale nie może spać. Dawałam jej Pepticol, Antistin, Allergont, wapno, daję jej świeże drożdże, mam też płyn do smarowania, ale to wszystko nic nie pomaga.

Jestem zupełnie bezradna, chciałabym dziecku pomóc, ale nie wiem jak.

Daję jej tylko mleko w proszku, nie je jajek, żadnego mięsa, rosołu, bo zauważyłam, że po tych potrawach jest jeszcze gorzej.

Proszę Cię bardzo, Droga „Przyjaciółko“, doradź mi, w jaki sposób mogę wyleczyć moją córeczkę z tej męczącej choroby.“

Droga Czytelniczko! Sądzi- my, że Twoja córeczka cierpi na skazę wysiękową. Jest to reakcja organizmu na szereg czynników, na przykład na niektóre składniki pokarmów, pyłki kwiatów, mydło, wełnę i inne,

Leczenie skazy wysiękowej jest żmudne, wymaga wiele cierpliwości ze strony matki i ścisłego przestrzegania wskazań lekarza. Leczenie jest jednak konieczne, gdyż stałe zmiany na skórze dziecka mogą niepomyślnie wpłynąć na jego ogólny stan zdrowia. Dzieci, mające skazę, są mniej odporne na zakażenia i ciężiej przechodzą choroby zakaźne.

Zmiany skórne u dzieci ze skazą wysiękową trwają ze zmiennym nasileniem przez całe życie, aż do ukończenia trzeciego roku życia.

Skaza wysiękowa częściej występuje u dzieci tłustych, rzadziej u szczupłych.

Leki łagodzą jedynie dolegliwości, często dzięki maściom udaje się na pewien okres zlikwidować zmiany chorobowe na skórze dziecka.

Musimy usuwać z jadłospisu dzieci „skazowych“ te potrawy, które wywołują u nich pogorszenie zmian skórnych. Często bywają to potrawy białkowe na przykład jajka, mięso, twaróg, lub niektóre owoce czy jarzyny.

Trzeba jednak poradzić się lekarza, które potrawy należy wykluczyć z diety dziecka, a które mimo wszystko zostawić, choć wpływają one ujemnie na skórę. Na przykład całkowite pozbawienie dziecka pokarmów białkowych jest niemożliwe, wpłynęłoby to bowiem bardzo niekorzystnie na ogólny stan jego zdrowia.

Skóra dziecka, cierpiącego na skazę wysiękową, jest bardzo wrażliwa. Drażni ją pot, mokre prześcieradło. Skrupulatna więc czystość białizny, utrzymywanie ciała dziecka w czystości, jest sprawą niezwykle ważną.

W okresie zaostrzenia zmian skórnych nie można niektórych dzieci myć mydłem i wodą. Trzeba je wówczas dokładnie obmywać oliwą lub parafiną. Należy też krótko obcinać paznokcie dziecka i dbać o ich czystość, aby nie mogło ono przez drapanie zakażać skóry.

Dziecko „skazowe“ musi być co pewien czas kontrolowane przez lekarza.

JANINA D. Z KOLUSZEK pisze: „Jestem osłabiona, źle wyglądam, ostatnio schudłam. Dokuczają mi bóle brzucha, jakieś ściskanie, nudności, często wymiotuję. Niekiedy silnie odczuwam głód, a czasami nie mogę nic jeść. Rano, przed śniadaniem napływa mi dużo śliny do ust. Wszystko to jest bardzo przykre. Chciałabym jak najszybciej pozbyć się swych dolegliwości. Wydaje mi się, że przyczyną ich jest tasieniec. Zauważyłam bowiem w kale gdyby kałki białej taśmy.

W jaki sposób mogłabym pozbyć się tego wstrętnego pasożyta?“

Droga Czytelniczko! Obecność tasienca w organizmie często wywołuje podobne objawy chorobowe, jakie wystę-

pują u Ciebie. A więc: osłabienie, niedokrwistość, bóle głowy, zmiany apetytu, wychudzenie, ślinotok, bóle brzucha, bezsenność, wysypki pokrzywkowe lub inne objawy uczulenia. Rozpoznanie choroby ustala się tylko na podstawie spostrzeżenia przez chorego członów tasienca w kale albo na podstawie mikroskopowego badania, za pomocą którego stwierdza się obecność jaj pasożyta w kale. Pozbycie się tasienca jest sprawą bardzo ważną. Po jego usunięciu z przewodu pokarmowego wszystkie dolegliwości znikają.

W jaki sposób mogłabyś się pozbyć pasożyta? Kurację przeciw tasiencomi przeprowadza się w szpitalu. Nie wolno tego leczenia stosować w domu. Wystarczy na ogół dwu lub trzydniowy pobyt w szpitalu dla przeprowadzenia pełnej kuracji.

Stosuje się różne metody leczenia, zależnie od wielu czynników, na przykład od ogólnego stanu zdrowia chorego, od rodzaju tasienca itp. W wielu przypadkach doskonały wynik uzyskuje się dzięki zastosowaniu leku — atebryny. Jest to łatwa kuracja, ale niekiedy jednak powoduje powikłania i dlatego nie może być stosowana w warunkach domowych. Znacznie energiczniejsza kuracja polega na podawaniu wyciągu z paproci. Lek ten, zastosowany w niewłaściwy sposób, może jednak wywołać poważne objawy zatrucia. Dlatego bezwzględnie nie wolno go również stosować w domu.

Kuracja jest całkowicie udana wtedy, gdy znajdujemy w kale główkę tasienca. Jeśli jej nie znajdziemy, to choć wydany zostanie prawie cały tasieniec (często wiele mętów), możemy spodziewać się, że po pewnym okresie wszystkie dolegliwości powrócą, ponieważ tasieniec odrasta. Wówczas trzeba będzie powtórzyć leczenie.



JÓZEF P. Z GORZÓWA pisze: „Mieszkam w Gorzowie już od 1946 r., ale pochodzę z Mławy i mam tam nawet działkę budowlaną. Zajmowałam się nią siostra, mieszkająca w Mławie, sadziła tam dla siebie trochę kartofli i warzyw. W bieżącym roku, w czasie urlopu odwiedziłam siostrę i obejrzałam działkę. Stwierdziłam, że właściciel sąsiedniej działki postawił sobie mурowaną szepę, niby to tuż przy granicy, ale faktycznie prawie pół metra poza granicą, na mojej działce. Uznałam to za bezprawie i zażądałam, aby przesunął budynek na swój grunt. Odmówił. Ugoda o trudno będzie z nim załatwić. Zresztą nie mogę pogodzić się z taką samowolą. Co mam robić?“

Drogi Czytelniku! Wszystko zależy od tego, czy sąsiad sa-

mowolnie, świadomie i celowo „przeszedł“ na Twoją działkę, czy też stało się to bez zлого zamiaru z jego strony.

W pierwszym wypadku — gdybyś mógł udowodnić jego celowe działanie, zmierzające do uszczuplenia Twojej własności — mógłbyś żądać nawet przywrócenia poprzedniego stanu Twojej nieruchomości, to znaczy usunięcia budynku z Twojej działki. Koszty poniosłaby oczywiście sąsiad.

O ile jednak sąsiad nie miał zamiaru naruszyć Twojej własności, względnie o ile nie mógłbyś udowodnić mu samowoli, trudno będzie zmusić go do usunięcia budynku z Twojego gruntu. Wątpliwe jest bowiem, czy uzyskalbyś w sądzie wyrok, nakazujący sąsiadowi przebudowę.

W takiej sytuacji przepisy prawne (art. 32 prawa rzeczowego) przewidują dwie możliwości:

— albo odkupienie części nieruchomości, na której stoi budynek,

— albo ustanowienie służebności na zabudowanej części działki, innymi słowy — zobowiązanie właściciela budynku do płacenia pewnej kwoty, w zamian za korzystanie z części obcego gruntu.

Sądzi- my, że w oparciu o te przepisy zdołasz załatwić sprawę z właścicielem sąsiedniej działki. Gdyby zaś droga ugody zawiodła, pozostanie rozstrzygnięcie sądowe.



OLGA P. Z ZDUŃSKIEJ WOLI pisze: „Niedawno kupiłam linoleum. Początkowo było bardzo ładne, lśniąco, lecz teraz zszarzało i straciło blask.

Jak je myć, żeby było ładne?“

Linoleum najlepiej myć letnią wodą z mydłem, słu- kać czystą letnią wodą i starannie wytrzeć do sucha. Potem przetrzeć lekko olejem lśnianym, a co dwa — trzy tygodnie przetrzeć parafiną. Dobrze też jest natrzeć linoleum woskiem.

Do mycia linoleum nie należy używać terpentyny, nafty, sody, spirytusu, gdyż środki te niszczą je.

DRODZY CZYTELNICY

Nie załączajcie do listów, wysyłanych do redakcji, pieniędzy, ani znaczków pocztowych. Odpowiadamy na wszystkie listy, w których podane są dokładne adresy, na własny koszt. Za porady również nie przyjmujemy żadnych opłat. Załączone pieniądze lub znaczki w żadnym razie nie przysię- szają odpowiedzi, a sprawa- wiają nam tylko kłopot.

Jak się robi film?

(Dokończenie ze str. 2)

Potem umawiamy się z aktorami, zamawiamy odpowiednią muzykę, dekoracje i kostiumy. Wreszcie przystępujemy do zdjęć. Albo w hali wytwórni, czyli w tak zwanym atelier (czyt. atelier), albo na wolnym powietrzu czyli w plenerze. Żeby film dobrze „wypadł” aktorzy muszą się jaszkrawo umalować (ucharakteryzować) i musimy ich oświetlić bardzo mocnymi lampami (reflektorami).

No, więc aktorzy są już „na planie”, w świetle reflektorów. Operator wyceLOWAŁ w nich obiektyw aparatu filmowego, czyli kamerę. Nad ich głowami wiszą mikrofony, reżyser udziela ostatnich wskazówek. Wszyscy wpatrzyli się w niego. Sekretarka planu trzyma wysoko numer sceny, a teraz: Uwaga! Zaczynamy!

Taśma filmowa zaczyna się obracać. Po kilku minutach — stop! To reżyser zatrzymuje zdjęcia. Jeszcze nie jest zadowolony. Kilka uwag i znów to samo od początku. Tym razem wszystko idzie dobrze. Ale... znów przerwa. Tym razem operator dźwięku ma zastrzeżenia. Więc znów powtórzenie. Bywa tak nieraz i po kilkanaście razy.

Nareszcie wszystko jest dobrze. Aktorzy schodzą „z planu”, gasną światła. Można trochę odpocząć. Uff, jak gorąco było w świetle tych lamp. W ten sposób, scena po scenie, rodzi się film. Ale mamy jeszcze kawał roboty przed sobą.

Kiedy już wiele metrów taśmy jest nakręconych, do dzieła przystępuje, uzbrojony w nożyce — montażysta filmu. Pewne sceny wydają mu się za

długie, inne... w ogóle niepotrzebne. A więc obcina, skraca i skleja całość znów na nowo. Potem można dać taśmę do obróbki technicznej i zrobienia wielu kopii.

Po kilku miesiącach (nieraz nawet po dwóch latach pracy wielu ludzi następuje uroczysty moment: premiera. Na sali już są widzowie, aktorzy, reżyser no i... recenzenci. Gaśnie światło, z małego okienka w tylnej ścianie sali pada snop światła na ekran. Zaczyna się podróż filmu przez miasta i kraje...

Z. K.

„Wilbra” — prima
odnawia wyroby ze skór gładkich

„Renifer” — extra
odświeża obuwie zamszowe

„ROXY” — zmywacz
do skór

Sprzedają sklepy chemiczne, mydlarskie, drogerie.
Zadać w opakowaniu oryginalnym.

MASECZKA KOSMETYCZNA

„TEGEXAN”

zapewnia piękną, młodzieńczą cerę, działając leczniczo (skład o podstawie porcelanowej), uniwersalna dla każdej cery. Porcja 50 g wystarcza na kilkakrotne użycie (cena 18 zł bez kosztów przesyłki). Wysyła za załączeniem pocztowym Laboratorium „Tegexan” Warszawa 47, skrytka pocztowa 43.
Prospekty bezpłatne!

PROMIENNYM UŚMIECHEM

podziękujecie Ci dziecko, gdy znajdzie pod choinką zabawkę mechaniczną o napędzie elektrycznym (źródło prądu — bateria płaska 4,5 V), które w dużym wyborze poleca Dom Techniczno-Handlowy Wytwórnia Zabawek i pomocy Naukowych

samochody wyścigowe	cena 98 zł.
samochody sportowe	cena 105 zł.
samochody dwuosobowe	cena 85 zł.
łódzie rybackie	cena 85 zł.
dźwigi robocze	cena 85 zł.

Zadajcie zabawek z nietłukących tworzyw sztucznych f-my DTH w sklepach z zabawkami, składnicach harcerskich i wszystkich kioskach „Ruchu”.

411-0

OGŁOSZENIA DROBNE

(za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada)

ROZNE

Odmładzające ziołowa pielęgnacja urody usuwa krosty, piegi, zmarszczki, wypadanie włosów, niemiły wygląd, owłosienie. Gabinet Kosmetyczny Carmen — Poznań 34. Skrytka 8 — wysyła fachowe porady. Przesłać 2 znaczki.

SPRZEDAŻ

Prejudin — tabletki na schudnięcie odstąpię. Baranowska, Chełm Lub., Dzierżyńskiego 7.

Redakcja: Warszawa, ul. Wiejska 16, tel. 824-11. Redaktor naczelny tel. 805-83, z-ca redaktora naczelnego tel. 824-11, sekretarz red. tel. 858-66.
Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 96, oddział w Krakowie, S. Karłowicza 4, oddział w Rzeszowie, ul. Żeromskiego 5; oddział we Wrocławiu: ul. Podwale 63. Oddział w Olsztynie ul. Szrajbera 11.

Administracja Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 824-11. Warunki prenumeraty miesięcznie 4 zł 35 gr, kwartalnie 13 zł, półrocznie 26 zł, rocznie 52 zł. Zamówienia i przedpłaty za prenumeratę indywidualną przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe, listonosze w terminie od 1 do 15 każdego miesiąca.

Redaguje Zespół. Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism.
Prenumerata zagraniczna wynosi: kwartalnie zł 17,20, półrocznie zł 36,40, rocznie zł 72,80.

Nakład 1.931.000.
Zamówienia i wpłaty przyjmuje: Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „RUCH”, Warszawa, ul. Wileńska 40. PKO 1-5-100024 Warszawa.
Cena nr 1 zł.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Druk. RSW „Prasa” Marszałkowska 3/5.
Zam. 1962 W-10.

Re... Wysyła dachówki, dostarcza zdjęcia okazowe dla poznania najnowocześniejszych, najtańszych dachowczarek „Eternitowych” — dostarcza Kraśko, p-ta Nowobereżowo, pow. Hajnówka. GP-2992-1
Wapno palone w bryłach, w ładunkach wagonowych, dostarcza obecnie bez ograniczeń Biuro Zbytu Wapna i Gipsu Warszawa ul. Jasna 10. Om-12345-1

NAUKA

Korespondencyjne lekcje języków obcych. Informacje: Warszawa 10, skrytka 68. 88970-0

LEKARSKIE

Ansis wyciąg z ziół, środek kosmetyczny przeciw łupieżowi, swędzeniu skóry, wypadaniu włosów. Zaliczony przez Komisję Kwalifikacyjną do klasy pierwszej wyrobów kosmetycznych, uznany przez Ministerstwo Zdrowia za nadający się do użycia — poleca koncesjonowana Wytwórnia — Józef Marcinkowski Warszawa, Sienka 41-31. Ansis w cenie 63 zł. Płatne przy odbiorze. Podawać kolor włosów. Om-6951

Owrozdzenie nóg, żyłki, leczenie bezoperacyjne — St. R. Olszewski lekarz med. Poznań, Świerczewskiego 11-a m. 6. Godziny przyjęć: 8.30-10.00 i 13-16, prócz sobót. 414-W.

Pasy przepuklinowe, ciążowe, pooperacyjne, na podtrzymanie żołądka z plastykowymi zbiornikami do sztucznego oddechu, protezy rak, róg gorsety oraz wkładki do płaszków wykonuje Warsztat Ortopedyczny P. Niedziela. Poznań, Dolna Włda 20. 391-90202

Specjalne pasy lecznicze damskie i męskie przeciw obniżeniu żołądka, jeli. Pasy pooperacyjne, ciążowe, popołogowe i przeciw obniżeniu macicy. Specjalne pasy zapobiegające najcięższym i najzastarszszym przepuklinom u mężczyzn, kobiet, dzieci. M. Polaczek, Tarnów, Wałowa 41 (tylko na piętrze), telef. 2909. GP-2748-1

Na progu Kosmosu

(Dokończenie ze str. 8-9)

Samochód, gdy wyłączymy motor, zatrzyma się po jakimś czasie wskutek tarcia kół o szosę i tarcia w osiach. Podobnie zatrzyma się lokomotywa, czy jakiegokolwiek inny pojazd. Ale z rakieta kosmiczną, która pędzi bez zużycia paliwa i bez jakiegokolwiek tarcia, sprawa ma się zgoła inaczej. Jeśli nie będzie interwencji z zewnątrz, rakieta kosmiczna może krążyć po swojej orbicie całe wieki, jak to będzie na przykład z „Lunnikiem 1”.

PALIWO LUB SPADOCHRONY

Co więc z naszą rakieta zrobimy, by ją sprowadzić na Ziemię z powrotem? Możliwości są dwie: albo posiadać ona będzie silnik, który zredukuję jej szybkość, albo zastosujemy takie urządzenia, które zapobiegają spalaniu się jej w atmosferze. Obie możliwości są równie dobre, ale żadna z nich nie została do dnia dzisiejszego opracowana przez technikę.

Aby rakieta mogła zostać wyposażona w silnik, który będzie w stanie zredukować jej szybkość, musimy posiadać paliwo jeszcze wydajniejsze od dotychczas stosowanych. Nad wyprodukowaniem takiego paliwa usilnie pracują uczeni w kilku krajach. Należy oczekiwać, że prace ich zostaną uwieńczone powodzeniem w ciągu najbliższych lat.

A jak można zapobiec spalaniu się pędzącej rakiety w atmosferze? Tu

należałoby zastosować cały system odpowiednich spadochronów, oczywiście zupełnie niepodobnych do stosowanych w lotnictwie. Być może, rolę takich spadochronów odgrywać będą cienkie taśmy metalowe, wysuwające się stopniowo z rakiety i spalające się w czasie jej lotu w górnych warstwach atmosfery; możliwe też, że zastosowane będą inne urządzenia.

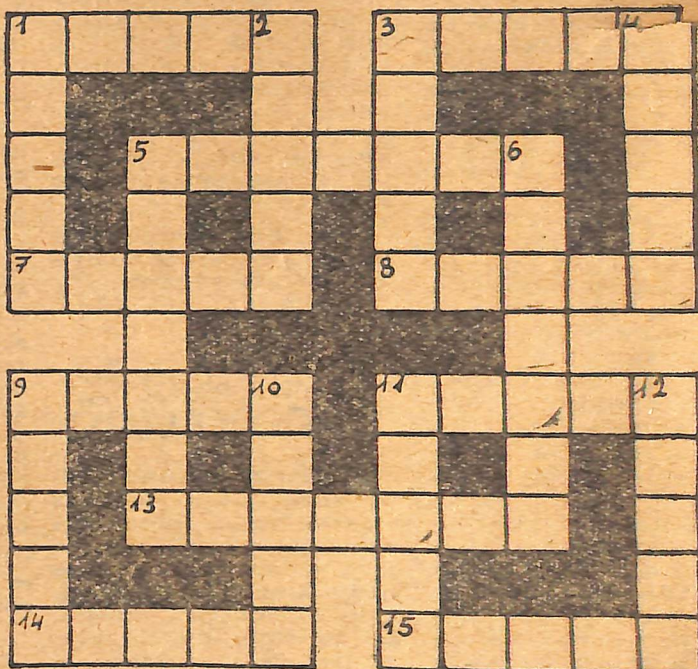
Te kłopoty ze sprowadzeniem na Ziemię rakiet kosmicznych prowadzą do bardzo ciekawych wniosków. Może się bowiem okazać, że znacznie szybciej technika rozwiąże problem spadochronów, niż wynajdzie odpowiednie, bardzo wydajne paliwo. W tych warunkach łatwiej będzie wysłać rakieta na odległą planetę Wenus, czy na jeszcze dalszego Jowisza, niż na bliźniutki w skali kosmicznej Księżyc. Zarówno bowiem Wenus, jak i Jowisz, otoczone są gęstą atmosferą, umożliwiającą stosowanie urządzeń spadochronowych, Księżyc natomiast jest pozbawiony atmosfery. A odległości w podróży kosmicznych nie wpływają na większe zużycie paliwa, bowiem niemal cały lot odbywa się „bezpłatnie”.

Takie oto problemy stoją przed przyszłymi podróżnikami na odległe światy. Rozwiązanie ich przyniesie nowe sensacje, nierównie ciekawsze od dotychczasowych wypików walki o zdobycie Kosmosu.

Edward Karłowicz

Dział zagadek

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) karma dla koni, 3) artysta sceniczny, 5) najdłuższy bieg w lekkoatletyce, 7) określona opłata, 8) pisze się nią na tablicy, 9) imię żeńskie, 11) część ogumowania roweru, motocykla lub samochodu, 13) osoba pozbawiona zdolności mówienia, 14) marka zegarka lub litera grecka, 15) oznaczenie miejsca zamieszkania.

Pionowo: 1) środek lokomocji morskiej, 2) ich talia służy do gry, 3) przedmiot zabytkowy, 4) miejscowość uzdrowska dla dzieci w Polsce, 5) narodowa potrawa włoska, 6) utrata wolności, 9) produkt białkowy pochodzenia zwierzęcego, 10) scena w cyrku, 11) mieszkanie dla krów, 12) zbiór map,

ROZWIĄZANIE „ZARCIKA REBUSOWEGO” Z NR. 49 BRZMI: GONIEC.

Nagrody książkowe wylosowali:

1) Danuta Kurczewska z Bydgoszczy; 2) Krystyna Rogowska z Piaseczna; 3) Hanna Hein z Poznania; 4) Wanda Kłodawska z Trepi; 5) Zofia Baranowska z Poznania 25; 6) Maria Trzebiatowska z Warszawy; 7) Barbara Paprzycka z Tczewa; 8) Zofia Krzyżkowska z Grudziądza; 9) Hanna Żalaska z Smolca; 10) Barbara Kosińska z Radomia; 11) Aurelia Jabczyńska z Poznania; 12) Henryk Gitko z Poznania; 13) Zofia Tajner z Kościan; 14) Stanisława Swiderska ze wsi Modrzew; 15) Ryszard Czyba — Tychy; 16) Maria Oleksiak ze Skarżyska Kam.; 17) Edward Appel z Kostkowa; 18) Irena Saramak z Bilcza; 19) Anna Zarzycka z Częstochowy; 20) Włodzisław Szewczyk z Bełchatowa.

haft biały i mewa

Serwetkę wykonujemy z szarego
linianego płótna, haftujemy biały ba-
czany posrodku poszczególnych bo-
ków. Wykonujemy go techniką bia-
łego haftu. Kwiatki haftujemy ala-
skiem, kółka tworzące rodzaj liści -
podwójnym ścieżem. Wewnątrz ko-
łek umieszczamy dziurki angielskie.
Brzeg serwetki zamykamy dość
szerokim obrębem i mewa.



SERWETKA





A POLSKIEGO

Maksymilian Gierymski (1847 – 1873): Kolysanka